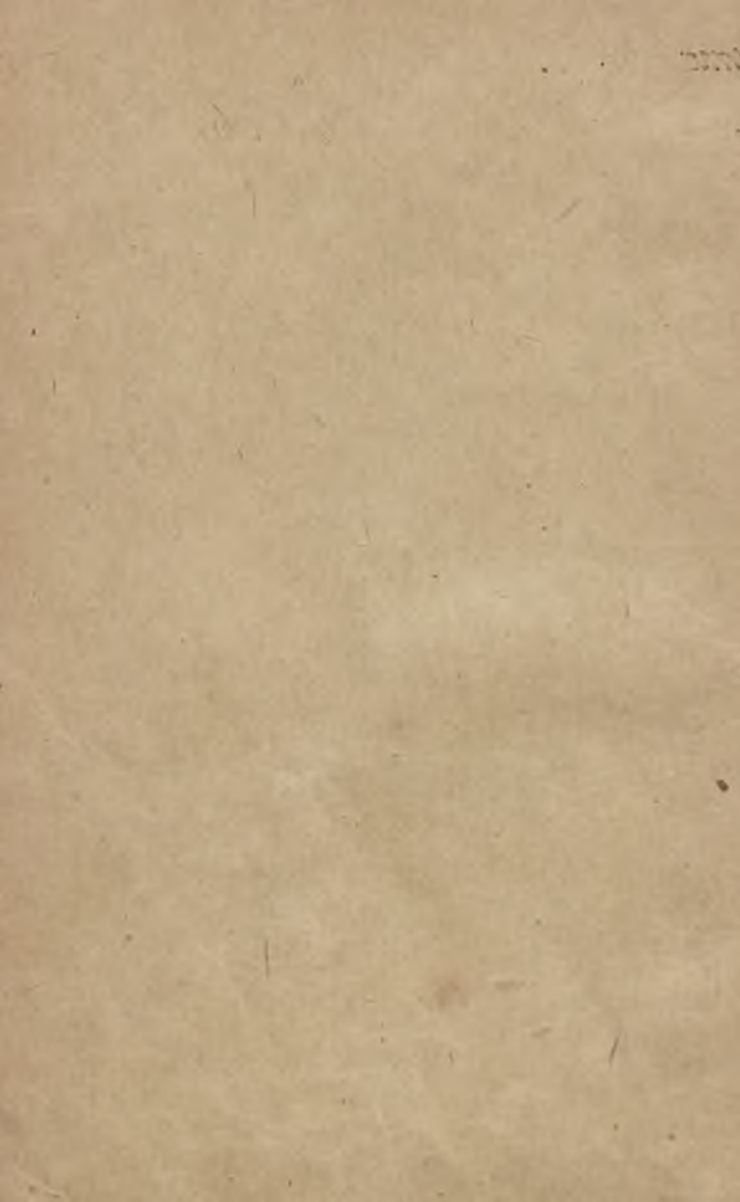





V
B
J
C



MOJE DZIECI.





— Hejże dzieci, hejże ha, róbcie to co i ja!

MOJE DZIECI

OPOWIADANIE MAMUSI

PRZEZ

ANTONINĘ DOMAŃSKĄ.

Z SZEŚCIOMA OBRAZKAMI.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ MICHAŁA ARCTA
W WARSZAWIE.





Kraków — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.

WSTĘP.

Była sobie jedna mama... lepiej przyznam się odrazu: jest sobie jedna mama, która ma czworo dzieci.

Najstarszy Jerzy utrapia się nad matematyką i łaciną w pierwszej klasie gimnazyalnej. To też na wszystkich jego zeszytach, książkach, a nawet o zgrozo! na ścianach i drzwiach dziecinnego pokoju roją się najrozmaitsze piękne maksymy, sentencye moralne, z gramatyki łacińskiej poprzepisywane.

Ośmioletni Staś, pełen uwielbienia dla brata i wiary w jego wyższość umysłową (co nie przeszkadza do zapalczywych utarczek codziennych), uczy się różnych wierszyków i pisuje kaligrafię, w której dwa lub trzy żydy na jednej stronie

wcale nie są rzadkością; zadania Stasia w pocie czoła pisane nie zawsze zasługują na pochwałę u pana nauczyciela: ach, Boże! któżbo zgadnie, kiedy się pisze -u-, a kiedy -o- z kreską, kiedy ż, a kiedy rz?! Biedny Staś łamie sobie głowę nad temi tajemnicami i wieczny ma kłopot z ortografią.

Helenka, trzecia z rzędu, wesoła i swobodna jak ptaszek, pędzi życie bezczynne; łatwo odgadnąć wiek młodej osoby... Helenka nie ma jeszcze lat sześciu. Od kilku dni jednak, jakieś czarne chmury zaczynają się ukazywać na horyzoncie: Mama kupiła duży kawał kanwy, kilka pasemek włóczki niebieskiej i różowej i grubą igłę kanwową. Z tych danych i kilku słów mamy do cioci, Helenka uczuwa pewne podejrzenia.

Bawiąc się w szkołę z Jerzym, Stasiem i dziećmi cioci, Helenka sama nie wie, kiedy nauczyła się wszystkich literek; otóż wczoraj rano, na tualecie mamy, zjawiła się niespodzianie pewna oprawna książka. Gdy ją dzieci spostrzegły, mamy właśnie nie było w pokoju; Staś zaciekawiony przeczytał tytuł: „A, B, C. Nauka czytania i pisania“ i z biciem serca (gdyż w pokoju mamy nic ruszać nie wolno), zajrzał ostrożnie do środka.

— Helenko! Abecadło z obrazkami!

Mama w tej chwili wróciła z kuchni... wszystko w porządku, książka leży na swojem miejscu, dzieci

się bawią spokojnie... tylko Helenka coś spoważniała: kanwa, igły, elementarz... Życie pracy rozpocząć trzeba!

Mówiłam na początku, że ta mama ma czworo dzieci. Gdzież czwarte? Oto jest: Marynia, tłusty czerwony klocek, od kilku dni skończywszy pół roku, rozpoczęła męczącą naukę jedzenia kaszki łyżeczką i siedzenia na kanapie, bez wyraźnej pomocy swej nieodstępnej Hanusi.

ROZDZIAŁ I.

Dzieci wstają. Jerzy kończy się ubierać, bo przed ósmą trzeba być w szkole; Staś, wielki śpioszek, otwiera jedno oko:

— Ach Boże! całą noc takie mi się okropne, przedpotopowe zwierzęta śniły; ledwie nad ranem trochę się te mamuty porozchodziły... a tu Wiktusia już budzi... Wy chyba chcecie, żeby ja umarłem!

— Helenko! — woła Wiktusia, eks-niańka Jerzego, a teraz opiekunka młodszych dzieci — Helenko! czego tak nudzisz? wiesz, że mama lubi raz, dwa, trzy! i uciekać z łóżka, nie medytować.

— Aha, dobrze Wiktusi mówić, a mnie się pończochy pomięszały; teraz nie wiem, która na prawą nogę.

— Ależ to wszystko jedno — tłomaczy Wiktusia.

— A dlaczego Jerzy mówił wczoraj, że Henryś mądry jak but z lewej nogi? A widzi Wiktusia?!

— Widzę z boleścią, moja miła siostro, że śmiało możesz być parą dla Henrysia. Moje uszanowanie pannie Prawej pończoszce!

— Ty Jerzy, szkaradniku! Zawsze mi dokuczasz... zawsze mnie przezywasz... poczekaj, jak się mama dowie!

Jerzy jednak, wykręciwszy się na pięcie, poskoczył do jadalnego pokoju, wypił duszkiem śniadanie, bułkę wpakował do kieszeni, dał ku drzwiom dwa susy i już go niema.

— Stasiu, Stasiu, bo doprawdy pójdę mamę poprosić! Tyle razy budzę, a ty ani myślisz wstawać. Szkaradny leniwiec!

— O, Boże mój! Jaki ja nieszczęśliwy! Wszyscy mi dokuczają... na złość mi robią...

— Płacz, płacz, bekasie; jeszcześ z łóżka nie wylazł i już ryczysz, a dopiero wczoraj mówiłeś, że chciałbyś być królem?

— No to co? Albo to królowi nie chce się spać? A jak jest mały i budzą go, to przecież także płacze. Wstaję, już wstaję, niech Wiktusia nie burczy.

Staś zabrał się do mycia i ubierania, postękując nad swoją dolą nieszczęśliwą. Helenka żwawsza od niego, prędzej też była gotowa. Zmówili pacierz i stanęli przy stole.

— Cóż dzieci chcą na śniadanie?... Kakao, czy herbaty — rzekła Wiktusia, idąc do samowara, który od kwadransa głośnem mruczeniem dawał znać, że jest gotów na usługi.

— Mnie tam wszystko jedno — odpowiedział Staś.

— I mnie także — zawtórowała Helenka.

— No to chodźcie, nalałam wam herbaty.

— E, herbaty... ja wolę kakao. A kawy to niema dzisiaj?

— Oj, nudziarze, nudziarze! Co dzień to samo — zawsze wolą to, czego nie dostali.

— Staszek! sparzyłam się w język! Hu, taka gorąca ta herbata...

— Trzeba dmuchać. A bułki! Takie małe, jak dla lalek. Zobaczycie, jak wyrosnę, to założę piekarnię i będę piec buły, jak Maryńcina główka. Wszyscy ludzie zlecą się do mnie. Wzbogacę się też prędko, a potem to już za darmo będę biednym rozdawał.

— Ach, tak! A ja... wiesz co zrobię? pójdę za mąż za cukiernika i codzień sto funtów cukierków ubogim dzieciom będę rozdawała.

— A jak ci mąż nie pozwoli?

— Ach! On będzie okropnie dobry... tak jak tatuś; tata przecie nigdy nic mamie nie zabrania.

— Cóż, grzeczne dzieci? — spytała mama, wchodząc do jadalnego pokoju. — Helenka mówiła pacierz? A Staś? A... oczy znów czerwone jak u królika.

— Bo mi tak wszyscy dokuczają...

— Naturalnie; co dzień ta sama piosenka; wstydziłbyś się! Chłopiec — i taki mazgaj. Ja słyszę z mego pokoju co robicie, choć nie jestem ciągle z wami i wiem, że czy jest, czy niema o co, ty Stasiu zawsze płaczesz. Dziwię się, że ci jeszcze łez wystarcza.

— Bo on bardzo dużo wody pije, proszę mamy.

— Teraz kiedy już po pacierzu i po herbacie, możecie się razem bawić; tylko zapowiadam: bez kłótni i płaczu. Wiecie, jakie u mnie na to lekarstwo! Staś osobno tu, Helenka osobno w moim pokoju, na półgodzinne rekollekcye.

— Nie, nie! Niech się mama nie boi! — wołają razem dzieci. — My się będziemy wybornie bawić.

— Wiesz co, Stasiu, w przedpokoju są wszystkie kanapy i fotele, bo to dziś sobota; Wojciech trzepie meble. Zanim je powynoszą na ganek, mo-

żemy sobie pyszny domek zbudować. Dach zrobimy z dużej maminej chustki, i będziemy sobie mieszkać jak biedni rozbitkowie na bezludnej wyspie.

— Posiedzimy chwilkę, a potem co? — skrytykował Staś propozycyę siostry. — Ot, lepiej ustawmy dwa fotele na kanapie, wdrapiemy się na nie, i będzie nibyto okręt kupiecki, a my korsarze.

— A co to są korsarze?

— To są rozbójnicy morscy, czyli Hiszpanie.

— Dlaczego Hiszpanie?

— Bo widzisz... prawie wszyscy Hiszpanie są korsarzami; jest może z kilku dobrych, ale reszta sami rozbójnicy.

— E... albo to prawda?

— Prawda. Jerzy mi o tych zbójcach opowiadał, bo on czytał w takiej książce zielonej ze złotem, co to od babci. A zresztą co nam to szkodzi? Może wszyscy Hiszpanie są poczciwi... co my wiemy? Ot, budujmy okręt.

Połączonemi siłami dzieci budują okręt i z tryumfem zasiadają na wysokości.

— Ja będę kapitanem, a ty moim pomocnikiem.

— I tak tylko we dwoje? To nikogo nie zwyciężymy! Poczekaj, ja przyniosę wszystkie moje lalki, to chociaż się nie będą ruszać, ale będzie

więcej ludzi na okręcie i tamci się nas przestraszą. O, widzisz: te trzy duże, to będą majtkowie, a ta maleńka, to chłopiec okrętowy. Aha! Jeszcze mam w szufladzie porcelanowego murzynka, to będzie kucharz, bo kucharze morscy są zawsze murzyni.

— No, teraz bijmy się! Ale poczekaj, bo ci muszę wytłomaczyć: te wszystkie fotele i czerwona kanapa, to będzie bogaty okręt kupiecki, który my napadniemy i zrabujemy.

Staś i Helenka z nieludzkim piskiem rzucają się na nieszczęśliwy okręt kupiecki i zdobywają go po kilku minutach.

— Uff! zmęczyłem się okropnie! Ale bronili się mężnie... gdyby nie nasza załoga waleczna i dobrze uzbrojona, kto wie, coby było!

— Ach i ja także ledwie żyję. Zabiłam dwudziestu; a ty?

— A ja czterdziestu!

— Ej... wiesz co? Lepiej się tak nie bawmy, boby nas Pan Bóg skarał i potemby nas kto pozabijał. Bawmy się w co innego.

— Dobrze. Ja będę... wiesz, ja będę królem. Takim wielkim, potężnym, co to bardzo lubił chłopów... ty będziesz nibyto chłopem, a ja ciebie na obiad zaproszę; bo widzisz, żeby tym hardym panom pokazać, że wszyscy są równi.

— A dlaczego ja mam być chłopem? Ja wolę

być babą wiejską, a kiedyś ty król, to możesz mnie i tak na obiad zaprosić.

— Kiedy on się nazywał królem chłopów.

— To pewno tylko przezwisko, a ja nie chcę być mężczyzną.

— No — zresztą, bądź sobie babą.

Ustąpiwszy wspaniałomyślnie (co mu się bardzo rzadko zdarza), Staś rozpoczął pompatycznie maszerować, jak na wielkiego króla przystało, Helenka zaś wzięła się do ubierania lalki, która w bitwie z korsarzami wiele ucierpiała. Po chwili, król zbliżył się z godnością do stołu, pod którym, jako w skromnej chatce, siedziała uboga wieśniaczka, i rzekł:

— Moja kochana kobiecino, możebyście przyszli do mnie na obiad? Właśnie: kazałem kucharzowi upiec dwanaścioro kurcząt, będzie zupa szparagowa i ryż ze śmietaną.

— Ach, zaraz, zaraz; niech wielmożny król trochę poczeka. muszę zawiązać spódnicę mojej córce i chałupę pozamiatać, boby mnie mąż wybił.

No — teraz już idę.

Król podaje ramię wieśniaczce z powagą i uprzejmością i obchodzą kilka razy naokoło stołu, zasłaniając się parasolką.

— No! Po jakiemu trzymasz parasolkę! Dziubnąłeś mnie w oko! Masz... to mówiąc, zuchwała

poddanka uderzyła biednego monarchę z całej siły w plecy. Że zaś król był wierutnym mazgajem, zamiast więc znieść ten cios obojętnie, zapiszczał przeraźliwie.

— Hi hi hi hi... Ty obrzydliwico! Będziesz swojego króla biła? Szkaradnica jedna! Już nigdy się z tobą nie będę bawić! Nigdy a nigdy! hi hi hi. Ale myślisz, że ci nie oddam? Masz... masz... masz...

— A to co się dzieje? — zawołała mama, uchylając drzwi od swego pokoju. — Śliczna mi zabawa! Dzieci zapomniały, co ja mówiłam?

— Bo to ona pierwsza zaczęła.

— Nieprawda! Tyś mię pierwszy parasolką w oko uderzył.

— Ale niechcący; a ty mnie umyślnie biłaś!

— A ty mi trzy razy oddałeś!

— Dość już tego; obojeście winni. Proszę pana Stanisława usiąść sobie w tym kąciku i pomyśleć trochę nad sobą. Panna Helena pójdzie do mego pokoju.

— Ach mamo! Już się nie będziemy bili; niech mama nam przebaczy! Myśmy się tak doskonale bawili, mieliśmy taki wyborny obiad...

— Moja mamuniu droga! Brylantowa, srebrna, cukierkowa, to już ostatni raz! Ja go pierwsza przeproszę, tylko niech się mama nie gniewa!

— No pamiętajcie! ostatni raz. Ale jak usłyszę najmniejszą kłótnię, to już z pewnością ukarzę i żadne prośby nie pomogą.

Po odejściu mamy, nastała chwilowa cisza.

Wrócić do przechadzki naokoło stołu, nie miały dzieci ochoty; trochę żalu w sercu po kuksańcach także wpływało na humor, słowem zabawa już się nie kleiła.

Staś, który nadzwyczaj lubi książki, zaproponował siostrzyczce, że jej będzie głośno czytać, ale Helenka nie miała ani ochoty, ani czasu do słuchania, — pilno jej było do lalek — odpowiadała mu niechętnie, i już... już mieli się posprzeczać, gdy w porę jeszcze przypomnieli sobie oboje obietnicę daną mamie. Staszek w milczeniu rozparł się na kanapie i po chwili już ani o Bożym świecie nie wiedział, takie śliczne powiastki zajęły jego uwagę. Helenka wzięła się do swoich lalek i tak w rzeczywistym spokoju minął czas do obiadu, na czem najwięcej skorzystała Marynia. Maleństwo przyzwyczajone sypiać przed południem, w czasie krwawej, a hałaśliwej bitwy z korsarzami ani oka zmrużyć nie mogło.

O godzinie drugiej punktualnie podano obiad. Zajęcie taty jest tego rodzaju, że wszystko w domu musi iść podług zegarka. Równocześnie z wazą, Jerzy ukazał się w jadalnym pokoju. Mama od

godziny w ogromnej była trwodze, gdyż lekcye w gimnazyum kończą się o pierwszej, niepokoiło ją więc mocno, że się Jerzy tak długo nie pokazuje.

— Wyobraźcie sobie, co za niesprawiedliwi są ci profesorowie! To już doprawdy pojęcie przechodzi! Musiałem siedzieć godzinę... w kozie... a za co? Panie święty! Muzyka przechodziła przez ulicę; nie mogąc dojrzeć, wyskoczyłem z ławki na okno i ten stary nudziarz capnął mnie za to na całą godzinę. To już za ostro! A sam to wygląda oknem, chociaż starszy od nas i tysiąc... ale co ja mówię! sto tysięcy razy najrozmaitsze muzyki słyszał.

Mama i tata stanęli naturalnie po stronie nauczyciela i biedny Jerzy oberwawszy na przyczynek burę w domu, jak niepyszny umilknąć musiał. Że jednak usposobienie ma wesołe i nie łatwo fantazyę traci, zjadłszy więc rosół, zapomniał o wszystkich utrapieniach i kłopotach studenckiego żywota.

— Ale, ale, jakie śmieszne psy w kagańcach widziałem! Ten pudel u naszego sąsiada siedział biedny przed sklepem i tylko od czasu do czasu łapą zedrzeć kaganiec próbował. Potem widziałem ogromnego czarnego, który szorował głową o mur, myśląc zapewne, że to co pomoże. Ja mu tłomaczyłem, że to się na nic nie przyda, że przecież przysłowie uczy: „głową muru nie przebijesz“,

ale ja swoje, a on swoje. Mamo! na co to wymyślili?

— Widzisz, jak ty nic nie uważasz — przerwała Helenka — a dawno to tatuś opowiadał, że magister wydał rozkazanie, aby wszystkie psy nosiły kagańce, bo gdyby się wściekł który i kogo pokąsał... a widzisz? Ja młodsza, a wiem (naturalnie „magister“ miało znaczyć „magistrat“, ale Helence to jest zupełnie obojętne, nie rozumie znaczenia ani tego ani tamtego wyrazu).

— Mamo! Jaka będzie legomina? Ja najlepiej lubię mleczko czekoladowe. A ty?

— A ja kruche ciastka z wiśniami.

— Mamo, kiedy będą wiśnie?

— A mamo, czy dzicy ludzie lubią poziomki? Pewno nie, bo jakże kiedy są ludożercami...

— Mamo, a dlaczego jeden król nazywał się Wstydliwy?

— Mamo, mamo! Niech mamusia nie mówi, ja mu powiem! Bo był bardzo dobry i wstydził się okropnie, jak tylko co złego zrobił; o! wcale nie tak jak ty, co się ze wszystkiemi bijesz, a potem jeszcze się nie wstydzisz beczeć jak baran.

— Cicho bębny! I mamie się naprzykrzacie i mnieście zakrzyczeli, a ja taką ważną rzecz miałem powiedzieć. Zgadnijcie, co się stało? Nadzwyczajność! Pycha!

— E... nie nudź, tylko mów; — przerwał Staś niecierpliwie.

— W naszej szkole wybuchła dyfterya! Bumm!

— Co... co takiego? — spytała mama z przerażeniem.

— Ach, nic mamusiu... głupstwo, ale cudownie się dla nas wydarzyło. U stróża pochorowały się dzieci na dyfteryę, a on to utrzymywał w sekrecie, bo mu się zdawało, że miejsce straci, jak się dyrektor o tem dowie. Naturalnie, chodził co dzień po wszystkich klasach, porządkował; dopiero dziś po tygodniu, wykryła się tajemnica. Dzieci odesłano do szpitala, a my mamy wakacyi aż cztery dni, bo całe gimnazyum de-zin-fe-kcyo-nu-ją!

— Co robią?

— Nie zrozumiesz, choćbym powtórzył, boś za mała, a to bardzo trudno wymówić i nie pomylić się.

— To pewno po chińsku — zauważył Staś.

— Mamo, dlaczego Chińczycy noszą taki długi warkocz?

— Widziała mama kiedy Chińczyka?

— Dlaczego ten dom za Rudawą nazywa się Wenecya?

— A czy są takie maszyny, co same obiad gotują?

— Czy są tacy doktorzy, co umieją wszystkie, a wszystkie choroby na pamięć?

— A mamo, kiedy będzie koniec świata?

— A cicho już! Dosyć tych pytań! Proszę jeść, bo kto mięsa nie zje, legominy nie dostanie.

Po tak strasznej groźbie umilkło bractwo świegotliwe; ale błogi spoczynek trwał kilka minut zaledwie; powoli, powoli, znowu zaczęły się sypać pytania, pełne związku, jak poprzednie. Mama przyzwyczajona już do tego hałasu, radziła sobie jak mogła, to odpowiadając na jedno z pięciu lub sześciu pytań, to nakazując milczenie, a w końcu wstała od stołu i poszła do swego pokoju, zostawiając dzieci pod okiem Wiktusi.

ROZDZIAŁ II.

Po obiedzie tata poszedł również do siebie i zamknął się na klucz; mama nie mogła w ten sposób zapewnić sobie spokoju, bo często bardzo z najrozmaitszymi interesami i pytaniami służące do niej przychodzą; to znów przynoszą karteczki od znajomych, na które odpowiadać trzeba. Dziś jednak jakoś nikt nie przeszkadzał: Jerzy zasiadł z nabożeństwem przy swoim stoliku, pisać list do „Wie-

czorów Rodzinnych", korzystając z niespodzianych rekreacyj; Helenka pobiegła na ganek posłuchać kataryniarza, który przecudne wygrywał arye, a potem miała zaproszenie do cioci Zosi. Staś, przypomniawszy sobie w porę jeszcze, że zadanie dla nauczyciela zaledwie rozpoczął, z gorączkowym pośpiechem zabrał się do pisania. Tak więc można było rachować przynajmniej na godzinę niczem niezamąconej ciszy.

Korzystając z wolnej chwili, mama wzięła się do pisania listu do siostry, która zamieszkała od niedawna w Warszawie z jedenastoletnią córeczką Alinką. Gdy piszemy do kogoś kochanego, myśli tak się cisną do głowy tłumnie, że ręka służyć im nie nastarczy. To też dwa arkusze gęściutko zapisane, po kilkunastu minutach leżały na biurku. W całym domu spokojnie, jakby makiem zasiał... ach, jak to miło!

Włożywszy list do koperty i przeczytawszy kilka rozdziałów bardzo zajmującej książki, mama wstała i poszła się dowiedzieć, co się z dziećmi dzieje. I ot, jakby na zawołanie, krzyk bolesny uszy jej uderzył: ach, biedny ten Staś! Biegać lubi i wyskakiwać, a niema dnia, żeby guza nie nabił. Dziś naprzykład, miał jakiś interes do kucharki, biegnąc przez ganek, potknął się na równej drodze i głową o krawędź szafy uderzył. Bolało go bardzo

i byłby może długo w niebogłosy zawodził, gdyby nie to, że ma bardzo dobre i czułe serce. Widząc mamę bladą i przerażoną, w jednej chwili przestał płakać.

— Zapewniam kochaną mamusię, że mnie już prawie nic nie boli!

Wiktusia przyniosła szmatkę, w zimnej wodzie zmaczaną, mama sama owiązała główkę i zaprowadziła biedaka do swego pokoju, gdzie jest w biurku pewna tajemnicza szufladka, a w niej karmelki i cukierki, na pociechę w ciężkich strapieniach przez mamę wydzielane, a które dzieci plasterkami na rany nazywają.

— Widzisz, Stasiu — rzekła mama, podając mu dwa plasterki — tyle razy ci powtarzam: nie biegaj tak prędko; znasz swoją niezręczność, czy też nieuwagę, a wiecznie się zapominasz i potem cierpieć musisz. Nie dalej jak wczoraj spadłeś ze schodów; dzięki Bogu, że nic ci się złego nie stało, ale przed dwoma laty z trzech tylko schodów zleciałeś i złamałeś nogę. Pamiętasz jak bardzo bolała? Jak trzewiczka zdjąć nie było można, tylko nożyczkami rozcinać musiałam? Jak płakałeś, gdy ci doktór nóżkę składał i gipsem oklejał? A potem cały miesiąc trzeba było leżeć spokojnie, z nóżką w kamiennej pończoszce. A widzisz, wspomnienie tych smutnych dni nie tak łatwo wyjdzie ci z pa-

mięci. Pomyśl, coby to było, gdyby podobne nieszczęście drugi raz cię spotkać miało? Przyrzeknijże mi, że od dziś powoli po schodach będziesz chodził; biegać ci nie zabraniam, i owszem, skacz sobie, ale nie potrzebujesz pędzić tak szalenie, nie patrząc pod nogi. Cóż, obiecujesz dla miłości mamy od dziś być uważniejszym?

— Dobrze, mamusiu, obiecuję i koniecznie słowa dotrzymam... jak mamę kocham!

— Rachuję na twą obietnicę; zobaczymy, czy mamę tak bardzo kochasz, jak mówisz. Idźno zobacz, kto tam dzwoni?

— To ja, mamo — rzekła wchodząc Helenka — Wiktusia odprowadziła mnie do cioci, ale ciocię bardzo głowa boli, więc prosiła, żebym przyszła kiedyindziej, a dziś zabrałam Henrysia i Józię do nas. Czy mama nie gniewa się za to?

— Ale owszem, dobrze, że dzieci przyszły tu się pobawić, kiedy mama niezdrowa; będzie mogła przespać się spokojnie, a to na ból głowy najlepsze lekarstwo. Bawcież się teraz grzecznie, a za chwilę dostaniecie podwieczorek.

Henryś i Józia są prawie rówieśnikami Stasia i Helenki, to też bawią się razem wybornie; a choć czasem i posprzeczają się trochę, to prędko następuje zgoda, gdyż wszystkie te dzieci, pomimo wad właściwych swemu wiekowi, są poczciwe i grzeczne.

— Jakże się będziemy bawić? — spytała Józia.

— W ciuciubabkę — zaproponował Henryś.

— Kiedy ja obiecałem mamie, że już nigdy nie upadnę, a przy tej grze trzeba uciekać, albo gonić na ślepo; jeszcze się przewrócę i będzie piękna robota! Ani pół godziny słowa nie dotrzymam! Bawmy się w chowanego.

— A gdzież się będziemy chowali? W dziecinnym pokoju śpi teraz Marynia, tu w jadalnym niema żadnej kryjówki, do mamy lepiej nie chodźmy, bo coś czyta, tobyśmy jej przeszkadzali. Bawmy się w kotka i myszkę.

— Helenka zawsze coś ni w pięć, ni w dziewięć wymyśli — skrytykował Staś — jedno będzie kotkiem, drugie myszką, a dwoje będzie robić koło! Na taką grę trzeba przynajmniej dziesięcioro dzieci!

— No, to bawmy się w lisa.

— To wszystko jedno, także nas mało.

— To w mruczka...

— To w wilka i owce...

— W talarka...

— W żywe obrazy...

— Poczekajcie — przerwał Jerzy, odkładając na jutro ukończenie swego listu. — Ja was pogodzę. Będziecie pół godziny wymyślali gry najrozmaitsze, drugie pół godziny medytowali, która z nich

lepsza i czas przejdzie, a potem pójdziecie do domu, wcale się nie zabawiwszy. Ja napiszę na karteczkach rozmaite zabawy, pomięszam kartki doskonale, a potem wyciągnie kto jedną karteczkę i będziemy się w to bawić, co los poradzi. Jak się nam jedno uprzykrzy, to wyciągniemy drugą kartkę i tak dalej. Cóż zgadzacie się na moją radę?

— Dobrze, dobrze! — zawołały jednogłośnie dzieci — ale i ty baw się z nami.

— A jakże; siadam i piszę, nie przeszkadzajcie mi.

Spisanie kilkunastu zabaw i gier na maleńkich karteczkach zajęło Jerzemu dobry kwadrans czasu; dzieci zaczęły się niecierpliwić.

— Piszesz i piszesz bez końca — narzekała Helenka — aż mnie już głowa z tego czekania rozbolała!

— No! już skończyłem; ale kto będzie ciągnął?

— Kto najmłodszy — zawołała Helenka, — pragnąc skorzystać z przywileju.

— Doprawdy? A czemu nie najstarszy? — obruszył się Jerzy. — Najlepiej niech ciągnie które z gości; a że damom należy się pierwszeństwo... zatem proszę panny Józefy!.. niech pani będzie łaskawa wybierać.

— Józia nie przeczyta twojej bazgraniny — zemściła się Helenka.

— O, proszę! A ciekawym jakbyś ty przeczytała, co ledwo znasz drukowane litery — odciął się Jerzy.

— Wielka rzecz, chodzi tylko o to, żeby wyciągnąć, a przeczytać, to każde z was może; a zresztą, gdybyście mi już pomódz nie chcieli, to mama niedaleko. Widzisz, umiem dać sobie radę!

— Dobrze, dobrze; ciągnij, Józiu!

— Będziemy się bawić... w Szkołę!

— Wybornie! — krzyknęły dzieci.

— Tylko — dodała Józia — kto będzie profesorem? Jabym chciała...

— O, i ja także — przerwał Staś.

— A cóż ja! Muszę ja przecież być profesorem — zawyrokował Jerzy. — Ale żeby uniknąć znowu niezgody, poszukamy sposobu, któryby nam wszystkim dogodził. Wiecie jak? Każdy z nas będzie uczyć jednego przedmiotu (jak prawdziwi profesorowie) i wtedy, kiedy będzie jego lekcya, wszyscy będziemy uczniami; potem nauczyciel pójdzie do ławki, a kto inny zajmie jego miejsce i będzie druga lekcya. Dobrze tak?

— Wyśmienicie! Czegóż ty będziesz nas uczył? — spytała Józia.

— Fizyki — odparł Jerzy z przemądrzałą minką — a ty, Józiu?

— Ja, historyi świętej.

— A ja, powszechnej — rzekł Staś.

— Ho, ho — mruknął Jerzy.

— To ja, chyba gimnastyki — szepnął nieśmiało Henryś — bardzo się jeszcze jąkam czytając, nie mógłbym więc udawać profesora, ale co kozły wywracać, to umiem przepysznie.

— A ja — zakończyła Helenka — to już wolę cały czas być uczniem, bo mnie to bardzo bawi; a gdybym była nauczycielem, tobyście mnie pewno nie słuchali. Któż zaczyna?

— Naturalnie ksiądz katecheta. Siadajcie, dzieci. Ale, ale — dodał Jerzy — pamiętajcie, że każda lekcya ma być krótka, dwa lub trzy pytania, a potem zaraz kto inny ma lekcyę, boby nam się uprzykrzyło. Józiu, zaczynaj, tylko bez śmiechów, porządnie!

Dzieci sadowią się rzędem na krzesełkach, Józia staje z powagą na ławeczce za stołem.

— Jerzy, powiedz mi, na czem stanęliśmy na ostatniej lekcyi?

— Na urodzeniu Izaaka, proszę księdza dobrodzieja.

— Bardzo dobrze; możebyś nam opowiedział jak to było z tą ofiarą Abrahama?

— A to było tak: Pan Bóg obudził raz w nocy Abrahama i kazał mu zabić na ofiarę syna jedynego: Izaaka. Abraham posłuszny, bez wahania wziął się

do roboty i zabrawszy drewek, ognia i miecz ogromny, poszedł z synem na górę Moria. Tam ułożył stos, kazał Izaakowi położyć się na nim i podniósłszy miecz, chciał mu głowę odciąć; ale w tej chwili ukazał się anioł, który go wstrzymał za rękę, mówiąc, że Bóg chciał tylko spróbować jego posłuszeństwa.

— Bardzo ładnie opowiedziałeś — pochwaliła Józia. — Widzicie kochane dzieci — ciągnęła dziewczynka z komiczną powagą i namaszczeniem — jaki to Abraham był dobry! Kochał bardzo swojego synka i miał go tylko jednego, a przecież nie wahał się zabić go Bogu na ofiarę.

— Ja nie mówię, żeby Abraham był zły — odezwała się Helenka — ale cóż miał robić? Przecież musiał usłuchać Pana Boga. Ale ja... to choćby mi Pan Bóg kazał, czy nie kazał, zabiłabym Mu Stasia na ofiarę.

— Jaka mi wspaniałomyślna cudzym kosztem! — krzyknął Staś, rzeczywiście przestraszony zamiarami siostry. — To się sama zabij, kiedy chcesz, a mnie daj spokój.

— Ale ja właśnie chcę Panu Bogu pokazać, że Go więcej kocham, niż Abraham.

— A ja nie potrzebuję...

— Cicho mi, bębny! Siedzieć spokojnie! Lekcya historyi biblijnej już skończona. Teraz nastę-

puje historya powszechna. No Stasiu, marsz na katedrę.

— Józiu, jak się nazywał ten pan co odkrył Amerykę?

— Może... Kopernik?...

— Siadaj; próżniak jesteś, dostaniesz dwóję. Helenka mi powie... Helenka mi powie...

— Jak długo trwała wojna Trojańska — podszepnął Jerzy.

— Tak jest; jak długo trwała wojna Trojańska?

— Takżeś wyjechał z pytaniem; zkądże ja mogę pamiętać to, co się z milion lat temu przytrafiło. Pytaj o coś takiego, co było niedawno.

— Dobrze więc: Czy Bismark jest cesarzem niemieckim?

— Nie.

— A może on jest królem włoskim?

— O, nie.

— A ile on ma włosów?

— Trzy.

— Bardzo dobrze. Przebaczam ci, żeś tamtego pytania nie umiała, pomimo to dostaniesz celujący.

— Teraz na odpoczynek po nauce, gimnastyka— zadysponował Jerzy. — Pobiegamy sobie, a dopiero na ostatku będzie fizyka. No, Henrysiu, co mamy robić?

— Postawimy tę ławeczkę na środku pokoju

i każdy, rozpędziwszy się, musi ją przeskoczyć równemi nogami. Ja, jako nauczyciel, pierwszy pokażę jak się to robi.

Tu Henryś biegnie bardzo zgrabnie i leciutko przeskakuje ławeczkę, poczem, nie zatrzymując się przewraca koziołka.

— Widzicie, tak się skacze. Jerzy! Raz, dwa, trzy, hop! O... nieszczególnie; rymnąłeś tak ciężko, aż w kredensie szklanki zadzwoniły. Bardzo nieładnie. Teraz Staś. Raz, dwa, trzy, hop!

Staś rozpędza się i w chwili, gdy ma przeskoczyć, przypomina sobie obietnicę, jaką dał mamie, przekłada więc najspokojniej nogę prawą, potem lewą i z miną zadowoloną spogląda na nauczyciela.

— A ty niedźwiedziu jeden! To ja tak pokazywałem? Żartujesz sobie z pana profesora, czy co?

— A nie żartuję, tylko się bałem upaść i dlatego przeskoczyłem trochę inaczej, niż ty.

— Trochę inaczej... trochę inaczej... zamknę cię do kozy za zuchwalstwo. Józia! skakać! Raz, dwa, trzy, hop! Bardzo ładnie, ślicznie, zaraz widać, żeś moja siostra. No, Helenko, pokaż braciom, żeś zgrabniejsza od nich. Raz, dwa, trzy, hop! Wcale nieźle, wcale nieźle. O wiele lepiej skaczesz niż ci mazgaje.

— O, ja i koziołki umiem przewracać, tylko mama nie pozwala, — rzekła półgłosem Helenka.

— Zapewne, panience to jakoś nie przystoi; ale jak powiada mój tata, im więcej człowiek umie, tem lepiej dla niego. Może ci się to kiedy przyda w życiu.

— Teraz, moi państwo, zaczniemy lekcyę fizyki — imponującym głosem zapowiedział Jerzy. — Siadajcie i uważajcie! Będę wam mówił o elektryczności. Elektryczność, jest to taka rzecz, której widzieć nie można, chyba, że kto podczas burzy na niebo patrzy, to widzi błyskawice, pioruny, słyszy huk ogromny, a to wszystko jest elektryczność. Zrozumieliście?

— Nie! (jednogłośnie).

— Przecież wykładam bardzo przystępnie. Trudno, jak się ma z dudkami do czynienia. Elektryczność jest w telegrafach, jest w różnych maszynach, co są potrzebne dla doktorów, słowem, raz jeszcze wam powtarzam, jest w bardzo wielu miejscach, ale jej widzieć nie można. Za to czuć ją można bardzo łatwo, ale wtedy, jeżeli się kto elektryzuje, naówczas mu się zdaje, jakby mrówki po nim biegały...

— Aha! Już wiem; jak długo siedzę przy lekcyi, to mi noga ścierpnie i takie po niej mrówki latają; teraz już będę wiedział, że to elektryczność.

— Nie przerywaj! Ponieważ jesteście tak ograniczeni, że mego popularnego wykładu nie rozu-

miecie, zrobię wam eksperyment czyli doświadczenie. No... zobaczycie jaka to będzie śliczna rzecz! Helenko, poszukaj tam jakiego drewnianego pudełka, ale żeby było dosyć duże.

— Może to z klocków będzie dobre?

— Pokaż; zdaje się, że będzie dobre. Spróbujcie, czy się na niem wasze ręce zmieszczą, bo musimy trzymać ręce na wierzchu pudełka, a prąd elektryczny da się uczuć wszystkim. Powiadam wam, pyszna będzie maszyna! O, tutaj mam proszek elektryczny; ale ponieważ łatwo się psuje, więc zawinąłem go aż w cztery papierki, żeby nie wywietrzał. To mówiąc, Jerzy dobył z kieszeni zawiniątko papierowe, wielkości małego jabłka. Następnie ustawił pudełko w ten sposób, że trzema ścianami zwrócone było do reszty dzieci, a stroną otwartą ku niemu. Włożył pakiecik głęboko do środka, a dzieciom kazał oprzeć końce palców na wierzchu.

— Tak, teraz dobrze; stójcież spokojnie, ja zapalę moją elektryczność i prędziutko stanę po waszej stronie; a zostawcie mi miejsce choć na jedną rękę. Tylko się nie nastraszcie, bo elektryczność sprawia zawsze małe wstrząśnienie. Masz tobie! Zapałek niema... dobrze tata powiada, że te służące to nieporządek wcielony. Nigdy nic nie postawią na swojem miejscu. Muszę pójść do mamy.

I w dwóch susach Jerzy poskoczył do maminego pokoju.

— Co tam przewracasz na stoliczku, Jerzy?

— Nic mamusiu, biorę sobie parę zapałek.

— A na co? Zapałki nie są wcale do zabawy, jeszcze się sparzysz.

— Niech się mama nie boi, my się teraz uczymy fizyki i ja, jako profesor, urządzam maszynkę elektryczną. Wybornie się bawimy.

— Pójdę i ja zobaczyć — rzekła zaciekawiona mama.

— Jerzy dumny powodzeniem, wprowadził mamę tryumfalnie do jadalnego pokoju, gdzie czworo młodszych dzieci z największem przejęciem i powagą trzymało łapki na drewnianem pudełku.

— Cóż to będzie takiego? Niech pan profesor wytłomaczy — rzekła uśmiechając się mama.

— E... to sekret; niech mamusia dotknie ręką pudełka tak, jak oni, a niezadługo prąd da się uczuć.

— Sekret? Pokażno, ja im nie powiem, tylko sama zobaczę.

I nie pytając dłużej o pozwolenie, mama wzięła tutkę z pudełka i poszła z nią ku oknu.

— Jezus Marya! Ależ to proch strzelniczy! — w najwyższem przerażeniu zawołała mama. — Dziecko! Skądeś to wziął?

Wzruszenie i przestrach mamy były tak silne, że nie była w stanie utrzymać się na nogach, siadła więc przy stole i jakby oczom własnym nie wierząc, wpatrywała się z osłupieniem w nieszczęsną paczkę z prochem. Jerzy nawpół zdziwiony, a nawpół widokiem mamy przerażony, stał pokornie, jako winowajca bezwiedny.

— Skądeś wziął ten proch? — powtórzyła mama.

— Jaś Krieger, mój kolega, którego ojciec ma skład broni, dał mi to dziś po lekcyi.

— I cóżeś myślał z tem zrobić?

— Włożyłem to do pudełka i chciałem podpalić, a potem jakby wystrzeliło i dzieci się nastraszyły, tobym im powiedział, że to jest elektryczność.

— A nie pomyślałeś — mówiła z wyrzutem mama — na co rodzeństwo, dzieci cioci Zosi i siebie narażasz? Czy nie wiesz, że proch wszystko rozsadza? Że na wystrzale nie byłoby się skończyło, ale prawdopodobnie, (gdyby nie Opatrzność Boża nad wami) proch wypaliłby wam oczy, poszarpał twarz i ręce...

— Ale co też mamusia mówi! Taka odrobina?

— Ta odrobina, moje dziecko, wystarczy aż nadto, by was wszystkich okaleczyć na całe życie.

— Ach, któżby się był tego spodziewał... ja właśnie sobie myślałem, że papierowe pudełko będzie za słabe i moglibyśmy się sparzyć. Dlatego wziąłem drewniane, a takiego ta troszka prochu nie potrafi przecież rozsadzić.

— Lekkomyślne i niedobre z ciebie dziecko — mówiła dalej mama. — Nie pojmuję nawet jak podobny koncept mógł ci przyjść do głowy. Wszak tyle razy słyszałeś o strasznych wypadkach, jakich proch bywa przyczyną. Nieświadomością więc nie możesz się tłomaczyć, bo już tajemnica, w jakiej posiadanie prochu zachowywałeś, potępia cię w moich oczach.

— Mamo... mamo... niech mama tak nie mówi! Niech mama tak na mnie nie patrzy! O moja mamusiu! — zawołał Jerzy, zakrywając twarz rękami.

— No dobrze już, dobrze, już się nie gniewam, bo widzę, że szczerze żałujesz swej lekkomyślności. Podziękujcie Bogu, moje dzieci, że was od bólu i kalectwa ocalił; powiedzcie sami, jak smutnie wasza zabawa skończyćby się mogła, gdyby Jerzy miał zapałki pod ręką!

ROZDZIAŁ III.

Tymczasem podano kawę. Przyszedł i tata. Jerzego strach ogarnął wielki... tata bowiem, pomimo, że bardzo pieścił wszystkie dzieci i codzień prawie sprawiał im jakąś przyjemność, bardzo surowo karał wszelkie przewinienia, zwłaszcza u chłopców. Szczęściem jednak tata miał konsylium w mieście, spieszył się bardzo, pogłaskał tylko dzieci po główkach, zmieszania nie zauważył i wyszedł z domu, nie dowiedziawszy się o całym wypadku. Jerzy zbliżył się do mamy, pocałował ją w rękę i rzekł:

— Ja już taki będę dobry i grzeczny, będę mamę zawsze, zawsze słuchał. Nigdy nie wymyślę nowej zabawy, póki mamusię o nią nie zapytam. Zobaczy mama! A przecie od kiedy żyję, nigdy nie skłamałem, więc i obietnicy z pewnością dotrzymam. Dziś wprawdzie mówiłem dzieciom, że mam proszek elektryczny, ale niech mi mama wierzy, sam myślałem, że w tem musi być chyba elektryczność, kiedy strzela i błyska tak, jak piorun.

— Widzisz, moje dziecko, jak to nie dobrze rezonować o czemś, czego się nie rozumie. Za kilka lat dopiero będziesz się uczył fizyki i wtedy dowiesz się, co jest elektryczność. Dziś bawiąc się w szkołę, daleko lepszym byłbyś nauczycielem ary-

tmetyki lub łaciny; mógłbyś nauczyć twoich uczniów kilku z tych pięknych przysłów, jakiemi sypiesz na wszystkie strony. Nie zrozumieliby wprawdzie ani słówka, ale przynajmniej łacina nie wypaliłaby im oczu, jak twoja elektryczność. Odchodzę do mego pokoju i spodziewam się, że będziecie się bardzo grzecznie bawić.

— No, a teraz co? — spytała Helenka, która jako najmłodsza, nie wiele wzięła sobie do serca tylko co przebytą katastrofę. — Cóż teraz wymyślimy?

— Taki ładny czas, poprośmy ciocię, żeby poszła z nami na spacer, — zaproponowała Józia.

— A pewnie — dodał Staś — słońce świeci ślicznie, szkoda siedzieć w pokoju. Mama pójdzie z pewnością.

I nie namyślając się długo, dzieci pobiegły z prośbą do mamy, która chętnie przystała na propozycyę i w kwadrans potem wesoła gromadka wędrowała plantacyami do Strzeleckiego ogrodu. Było to w końcu maja, piąta godzina w drodze im wybiła, mieli przed sobą kilka godzin pięknego wiosennego dnia do zabawy.

Przy bramie ogrodu stał przygarbiony staruszek, który nie naprzykrzając się nikomu, spoglądał smutnie na przechodniów, wzrokiem tylko proszą litości. Ubranie jego mocno wytarte świad-

czyło o wielkiej nędzy, a siwe włosy i postać zgrzybiała głośno mówiły, że już pracować nie może. Mama zatrzymała całą gromadkę u wejścia, by choć jałmużną pocieszyć biedaka. Wyjąwszy z portmonetki trochę drobnych, dała dzieciom po kilka centów, żeby same zaniosły dziadkowi. Jerzy nie poprzestając na tem, spytał staruszka, gdzie mieszka i czy nie potrzebuje czego, to mama pewno mu dopomoże. Dziadek dziękował dzieciom i za jałmużnę i za współczucie.

— Nie jestem ja żebrakiem, mój dobry paniczu — dodał, zwracając się do Jerzego — mam poczciwą i pracowitą córkę, która mnie przygarnęła na starość i jak może, tak życie osładza. Ale przed kilku tygodniami zachorowała biedaczka i musiała iść do szpitala. Było tam w domu kilkanaście reńskich schowanych na czarną godzinę, ale przez ciąg jej choroby wszystko się rozeszło. Wczoraj wróciła do domu tak jeszcze osłabiona, że ani myśleć może o pracy, tembardziej, że zarobek jej stanowi pranie; a kto trzy tygodnie wyleżał się w szpitalu, temu ciężko cały dzień stać przy balii, albo przez kilka godzin bieliznę maglować. Pomyślałem więc sobie: pracujesz ty, dziecko, dla starego ojca, może też i ja tobie jako dopomogę. Poszedłem prosto przed siebie i co trochę ujdę, to sobie przystanę, a patrzę na ludzi, czy nie poznają, żem bardzo bie-

dny, a prosić ich nie śmiem. I widać Pan Bóg mną się opiekuje, bo wczoraj wróciwszy do domu, sam sobie wierzyć nie chciałem, ile mi się tymi grosikami uzbierało! Poczciwi ludziska! Dziś także z łaski Boga, mam co zanieść mojej Marysi; a w każdy dzień co sobie odpocznie i zje coś lepszego, to i siły wracają. Da Bóg doczekać, za jaki tydzień, znowu się weźmie do pracy, a ja nie będę już musiał ręki wyciągać.

— Mamo, — szepnął Staś, spinając się na palcach do ucha mamy — ja wziąłem ze sobą trzydzieści centów; czy mogę mu je dać?

— I owszem, moje dziecko, to twoje własne pieniądze; możesz z niemi robić, co ci się podoba.

Po tych słowach, mama weszła z dziećmi do ogrodu, a Staś pozostał w tyle, szukając po kieszeniach pieniędzy dla staruszka.

— Mamo, mamo! — wołał doganiając towarzystwo w podskokach — on mi powiedział... niech ci Pan Jezus stokrotnie wynagrodzi. A czy to prawda? Czy Pan Bóg zapłaci mi stokrotnie?

— Bardzo być może, — odparła, śmiejąc się mama — nie wiedziałam jednak, że mój synek taki chciwy i wyrachowany, że nawet za jałmużnę od Pana Boga procentu żąda.

— A pfe lichwiarzu!

— A to brzydki chciwiec!

— Patrzcie go! Stokrotnie Pan Jezus musi mu zapłacić!

— Trzydziestu reńskich panu się zachciewa!

Tak wołały, śmiejąc się i wyskakując naokoło Stasia wszystkie dzieci, a on biedaczysko, w braku innej broni pod ręką, zaczął się opędzać kułakami na prawo i lewo, a w końcu nie mogąc znieść ich żartów, rozpłakał się na dobre.

— Dajcie mu pokój! niegrzeczni jesteście — odezwała się mama. — Staś ma bardzo poczciwe serce, on jeden z własnej kieszeni dał dziadkowi jałmużnę, podczas gdy wy moje pieniądze zanieśliście.

— A bo my nie mamy ani centa przy sobie — zawołały chórem dzieci.

— Ja też was nie obwiniam — ciągnęła dalej mama — tylko zwracam waszą uwagę, że on także mógł poprzestać na tem, co zaniósł odemnie, a jednak serduszko poradziło mu lepiej postąpić i dobrego serduszka usłuchał. Że zaś podziękowanie ubogiego zwróciło jego uwagę, dowodzi tylko, że Staś myśli i zastanawia się; rozśmieszył mnie i was swojem naiwnem pytaniem, i ja żartem tylko chciwym go nazwałam. Nie dokuczajcie mu więc, ale przeproście i ucałujcie zaraz, bo z waszej przyczyny gorzkie łzy wylewa. No, spieszcie się, mógłby się rozpłynąć.

Jerzy najpierwszy uściskał Stasia serdecznie, troje młodszych poszło za jego przykładem, mama pogłaskała go po główce i jakoś zagoiła się rana w mgnieniu oka.

— Wiecie co? — dodał Henryś — gońmy się, mamy tu masę miejsca. Albo lepiej... urządźmy niby to wyścigi, tak jak te prawdziwe, co będą za parę tygodni. A... padam do nóg wielmożnym państwu! — przerwał malec, kłaniając się z uniżeniem zbliżającej się ku niemu parce.

Były to dzieci pani K., która w wielkiej żyła przyjaźni z rodzicami naszych znajomych. Mamy spotkawszy się, usiadły opodal na ławeczce, a Tadzio i Wandzia, pobiegli powitać swych znajomych.

— Jak się macie?

— Dawno tu jesteście?

— Jaką masz ładną sukienkę!

— A ty, śliczny kapelusz!

— A mojego pałasza nie widzicie? — zawołał czteroletni Tadzio.

— Ja będę waszym generałem.

— Aha, właśnie; my się bawimy w wyścigi. Jeżeli chcecie należeć do nas, to musicie słuchać co ja powiem; bo jako nauczyciel gimnastyki, jeszcze najprędzej mogę się rozumieć na wyścigach. A przytem mój tata ma konia...

— Ależ dobrze... nikt ci nie odbiera dowództwa— przerwał Jerzy — urządzaj tylko prędzej te wyścigi.

— A więc tak będzie: ta ścieżka jest wyborna, bo dosyć długa i można biegnąć prosto jak strzelił. Na samym końcu stoi ławka. Tam zasiądzie publiczność. Ponieważ dziewczęta biegać porządnie nie umieją, będą więc stanowić tłum ludu. Tadzio także za mały, żeby się mierzył z nami...

— Nie za mały... nie za mały! Ja jestem za duży! — piszczał Tadzio.

— Cicho bądź, smarkaczu, i słuchaj starszych, a jak nie, to sobie idź do mamy. Przecie nie możemy wszyscy biegać, ktoś musi nas osądzić, wydzielać nagrody. Zatem Jerzy, Staś i ja, staniemy równiutko na początku ścieżki, a jak powiem: raz, dwa, trzy, to się puścimy pędem. Kto pierwszy stanie u mety, czyli przy ławce, ten wygrał. Józia, Helenka, Wandzia i Tadzio, będą siedzieć na ławce. Nie bój się, ja wiem, żeś ty mężczyzna i że ci się jakiś urząd należy. Ty powiesz głośno i wyraźnie, który z nas pierwszy dobiegnął, który drugi, a który ostatni. Będziesz pamiętał?

— O, będę! — upewniał Tadzio.

— Wy zaś, panny, — dysponował dalej Henryś — obdarzycie zwycięzcę nagrodą. Nagroda cesarska wynosić będzie 1000 dukatów. Narwiecie mnóstwo drobnych listków akacyi, to będą dukaty.

Potem będzie nagroda dam. Ja pójdę do ogrodnika, to mi da ładną różę. Ta róża będzie niby to złota i dostanie ją drugi wyścigacz. A trzeci, co na ostatku dobiegnie, naturalnie nic nie dostanie. Mój koń będzie się nazywał „Strzała“.

— A mój „Pif paf“ — rzekł Jerzy.

— A mój „Dukat“, bo ja chcę wygrać pierwszą nagrodę — powiedział Staś.

— Oho! Co mu się to zachciewa! Co krok zrobi, to się przewraca, a myśli o cesarskiej nagrodzie. Już ja tam jestem zupełnie spokojny, że nikt prócz mnie pierwszej nagrody nie dostanie, a wy oba z Jerzym starajcie się o drugą.

— Ale poczekajcie, coś wam powiem; — rzekł Staś. — Kiedy ja już taki biedny jestem, że biegać dobrze nie umiem, to mnie postawcie ze dwa kroki naprzód, a wtedy się wyrówna wasze bieganie z mojem.

— Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie — przyświadczył Jerzy. — Zanadto łatwo wygrać przeciw niemu, musimy mu dać pierwszeństwo.

— Ale owszem! Sześć kroków! — zawyrokował Henryś.

Chłopcy stanęli rzędem na ścieżce, poczem Staś wysunął się sześć kroków naprzód i stanął, czekając hasła.

— Raz, dwa, trzy! — krzyknął Henryś i cała

trójka pomknęła z największym pędem ku mecie. Ścieżka przecinająca wzdłuż prawie cały ogród, wynosi przynajmniej kilkadziesiąt metrów długości. Zaraz z początku, Henryś wysunął się naprzód; nasi chłopcy jednak, podrażnieni w swej miłości własnej, dobywali wszelkich sił, żeby go wyprzedzić, a przynajmniej z nim się zrównać, ale zgrabny chłopak biegł ciągle o kilka kroków przed nimi. Zwycięstwo zdawało się nieomylnie przechylać w jego stronę... gdy wtem... olbrzymi pies ogrodnika, dobry znajomy Henrysia, wyskoczył z krzaków i rzucił się na powitanie ku niemu. Nastąpiło silne zderzenie, skutkiem którego Henryś runął jak długi na ziemię. „Zabój“ w przekonaniu, że panicz chce z nim figlować, wyskakiwał naokoło niego, i swymi susami jeszcze bardziej utrudniał mu powstanie. Nareszcie udało się Henrysiowi odpędzić psa, lecz niestety, było już zapóźno! Staś i Jerzy dogonili go i wyprzedzili przynajmniej o piętnaście kroków. Biedny chłopiec galopował zapeprzony, z błyszczącemi oczyma, by odzyskać utracone sekundy. Jerzy ciekawy co się z rywalem dzieje, obejrzał się mimowoli; przy tym ruchu bezwiednie zwolnił biegu, bo trudnoż lecieć, nie patrząc przed siebie. Staś tymczasem, nie ufając swym siłom, nie miał czasu na żadne uboczne zajęcia, z ca-

łym zapałem zdążał do celu i... pierwszy stanął u mety!

— Wiwat! Wiwat! Niech żyje Staś zwycięzca! Niech żyje dzielny jego rumak! — wołały dziewczynki, a Tadzio klaszcząc w rączki wtórował im przeraźliwym głosem.

Jerzy dobiegnął drugi, a Henryś czerwony jak indyk i zły na wszystkich, stanął u mety ostatni.

Nie potrzebuję wam opisywać radości Stasia. Tak rzadko mu się trafiało wyrównać w zręczności innym dzieciom, tak się już przyzwyczaił do przezwiska niedźwiedzia, jakim go szczodrze zazwyczaj częstowano, że dziś, zwyciężywszy współzawodników, biedny niedźwiedź śmiał się i wyskakiwał do góry, uszczęśliwiony niespodziewanym tryumfem.

— Wielka sztuka być pierwszym — mruczał Henryś pod nosem — gdyby nie ten przeklęty Zabój...

— Zabój nie Zabój — przerwał Jerzy — spotkała cię kara za samochwalstwo. Takeś nam imponował i dogadywał, a tymczasem teraz my mamy dukaty i złotą różę, a ty...

— Jakie mi tam dukaty!.. z akacyowych liści; a róże setkami na krzakach rosną.

— Tra la la... niedojrzałe winogrona! Jakeś ustanawiał nagrody, nie wyśmiewałeś się z nich wcale. No, ale nie lamentujmy już nad tem co

się stało, tylko na pociechę wymyślmy jaką inną zabawę.

— Naprzykład, bawmy się w „Ojca Wirgiliusza“ — rzekła Wandzia.

— Dobrze dobrze! — krzyknęły dzieci i wziąwszy się za ręce, otoczyły kołem Henrysia, chcąc mu tem zaszczytnem stanowiskiem osłodzić gorycz porażki.

Ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje:
Miał ich nie wiele, dwadzieścia i dwoje.
Hejże, dzieci, hejże, ha!
Róbcie to, co i ja. (bis).

Piękne tony tej melodyjnej pieśni, siedmiu głosikami jak najfałszywiej kaleczone, rozlegały się po ogrodzie, aż miło było słuchać.

Prześpiewawszy dwa razy, dzieci stanęły w oczekiwaniu, co im Ojciec Wirgiliusz robić rozkaże. Henryś chcąc naprawić zachwianą sławę swej zręczności, w mgnieniu oka stanął na rękach i w tej niezbyt wygodnej pozycyi, śmiejąc się, wołał:

— Hejże dzieci, hejże, ha! Róbcie to, co i ja!

Niestety, w całem towarzystwie nie znalazł się ani jeden bohater, coby zdołał naśladować z powodzeniem przykład Ojca Wirgiliusza...

Tadzio wprawdzie z wielkiem gustem rzucił się na cztery łapki i to jednę, to drugą nogę do góry podnosił, ale przy każdej próbie tracił równo-

wagę i przewracał się to na prawą, to na lewą stronę. Inne zaś dzieci, nie próbując nawet, przyznały z pokorą, że takiej sztuki nie potrafią.

— A widzicie, mazgaje, coście wy wszyscy warci! Nie dziwię się panienkom, bo to zawsze słabe i do niczego stworzenia, ale wy, chłopcy!... wstydzę się za was.

— Nie fatyguj się, mój drogi — odciął Jerzy — ty prawie od urodzenia uczysz się gimnastyki, a my pojęcia o niej nie mamy. Ale poczekaj; tata obiecał, że od jesieni będziemy się także uczyć gimnastyki, a wtedy zobaczysz, jakie ci salto mortale wyprawimy

— Któż teraz pójdzie do koła?

— Ja chcę! — prosił Tadzio.

— I owszem; ciekawiśmy, co nam ten wielkolud wymyśli!

I na nowo zabrzmiało chórem:

— Ojciec Wirgiliusz itd. itd.

Tadzio stał chwilkę spokojnie, szukając w główce konceptu, a wreszcie nie mogąc czteroletnim rozumkiem nic lepszego wymyślić, wpakował wszystkie pięć palców do buzi...

— Hejże dzieci, hejże, ha! róbcie to, co i ja.

O zgrozo! Ze wstydem wyznać muszę, wszyscy, wszyscy nawet Jerzy i Józia bez wahania usłuchali rozkazu Ojca Wirgiliusza, zagłębiając z całą

precyzyą nie pierwszej czystości palce w szeroko roztworzonych buziach.

— A teraz ja! — zawołała Helenka.

— Dobrze — odparła Józia — ale to już będzie koniec, bo nudno tak ciągle w jedno się bawić.

Gdy prześpiewawszy całą zwrotkę z nabożeństwem, dzieci stanęły przed Matką Wirgilią, Helenka chcąc jakimś czynem wiekopomnym grę zakończyć, wyruszyła w podróż do mamy, skacząc na jednej nodze. Cała kompania, naturalnie, poszła za jej przykładem. I sześć dudków poskoczyło na jednej nodze za swym dowódzcą do ławeczki, gdzie siedziała mama z panią K.

— Witam was, moje miłe bociany! — rzekła mama, spoglądając na oddział, ustawiający się rzędem przed ławką. — Myślę jednak, że już dosyć tych męczących ćwiczeń. Stańcie sobie teraz porządnie jak ludzie, albo usiądźcie przy nas, bo i tak już niedługo trzeba będzie wracać do domu.

Starsze dzieci usadowiły się na ławce, gdzie było jeszcze dosyć miejsca, Helenka zaś, Wandzia i Tadzio pochyleni nad trawą, przypatrywali się rozmaitym muszkom i robaczkom.

— Wandziu, Wandziu! — zawołała Helenka — przypatrz się jaki śliczny chrząszczyk! Skrzydełka

ma niby złote, a przy głowie takie ładne rożki; to pewno nazywa się jelonek.

— Gdzie jelonek? Pokażcie jak wygląda? — zapytał Tadzio, przysuwając się bliżej.

— Ot tu; wyszedł na ścieżkę, widzisz jak lezie ku tobie?

— Fe... taki szkaradny, a wy powiadacie, że śliczny. Obrzydliwy! Takie ma długie nogi... Hu, masz!

— Ach, mamo! mamo! mamusiu! Biedne zwierzątko!

I nie mogąc dokończyć, Helenka wybuchła płaczem.

— Co się to stało? — spytały obie mamy.

Helenka z natury bardzo nerwowa i tkliwego serca, każde swoje lub cudze zmartwienie gorącemi oblewa łzami; to też nie była w stanie odpowiedzieć. Wyręczyła ją Wandzia:

— A to, mamo, ślicznego chrząszczyka Tadzio nogą zadeptał.

— Jakto? Umyślnie?

— Nie prawda, nie był śliczny, miał duży brzuszek i długie szkaradne nogi — tłomaczył się Tadzio.

— I umyślnie go zadeptałeś? — powtórzyła matka.

— A czego lazł w moją stronę? Ja nie cierpię takich jelonków.

— Mogłeś mu zejść z drogi, a nie zabijać niewinnego stworzenia. Bardzo jesteś niegrzeczny, mój Tadziu; zmartwiłeś mię swojem złem sercem.

— Może to była jaka mama — zauważyła Józia — może wracała do domu, do swoich dzieci? One tam głodne czekają na nią, a przez ciebie nigdy już swojej mamy nie zobaczą...

Tadziowi łzy stanęły w oczach. Zanadto był mały, by się nad swojem postępowaniem zastanawiać, ale dość duży, by słowa Józi zrozumieć.

— To ten jelonek miał dzieci? Biedne dzieciska, same w domu siedzą i doczekać się mamy nie mogą — dodała Wandzia, chcąc jeszcze bardziej wzruszyć zbrodniarza.

— To była biedna mama! — szlochała Helenka.

— Ja nie wiedziałem, że ona miała dzieci; ach, mamusiu! moja najukochańsza, moja droga! może ona żyje jeszcze, niech ją mama ratuje! Możeby Staś pobiegł po doktora?

To mówiąc, ukląkł w piasku i z największą troskliwością przesunąwszy biednego jelonka na duży liść, zaniósł go do matki.

— Niestety, moje dziecko — rzekła pani K. — zabiłeś takie ładne, niewinne stworzonko, a ja choć-

bym szczerze chciała, wskrzesić go już nie potrafię.

— Ach, cóż my teraz zrobimy! Te biedne, głodne dzieci!...

— Mamo, a gdyby ich mama zaprosiła na obiad?

Pani K. nie była w stanie powstrzymać śmiechu na tę naiwną propozycyę synka.

— Wątpię, mój Tadziu, czy się to da zrobić — rzekła — nie wiemy przecież, gdzie oni mieszkają; uspokój się, nie płacz, jakoś to będzie. Te dzieci mają z pewnością babcię lub ciocię, która je zabierze do siebie, a ty mi tylko serdecznie przyrzeknij poprawę, obiecaj, że od dnia dzisiejszego, ani muszki, ani robaczka, ani żadnego zwierzątka umyślnie nie zabijesz.

— Ani muszki, ani robaczka, ani nikogo! — powtarzał skruszony Tadzio.

— A teraz wracajmy do domu, bo już słońce się chowa, a nim zajdziemy, to i wieczór się zrobi.

Dzieci wzięły się parami za ręce, i rozprawiając o ważnych wypadkach dnia dzisiejszego, maszerowały naprzód; Jerzy zaś, jako dorosły mężczyzna asystował mamie, z którą bardzo lubi rozmawiać i korzysta z każdej nadarzającej się do tego sposobności.

Powrót do domu odbył się bez żadnej katastrofy; Staś raz tylko o słup od latarni głową uderzył, ale jakoś ani siebie, ani słupa nie uszkodził; Helenka zapomniała przez drogę o śmierci pani jelonkowej. Odprowadzono dzieci cioci Zosi do domu, pani K. z malcami poszła do swoich rodziców na herbatę, a nasza gromadka pośpieszyła do domu, gdzie już z kolacyą czekano.

Zazwyczaj dzieci lubią długo przesiadywać, ledwo je do łóżka zapędzić można, dziś jednak bez szemrania poszli wszyscy spać: przyczyną tego wzorowego posłuszeństwa była obietnica wycieczki na całe trzy dni na wieś do wujenki Karolowej, dzięki niespodziewanym wakacyom Jerzego.

Wyjechać miano raniuteńko, by uniknąć upału.

ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz w niedzielę, o godzinie szóstej rano, wszystkie dzieci były już na nogach. Staś zapomniał o codziennych trenach przy myciu i ubieraniu, Helenka nie grymasiła przy śniadaniu, Jerzy nie sprzeciwiał się rodzeństwu, słowem radosne myśli o kilkodniowym pobycie na wsi zbawiennie wpłynęły na humor i postępowanie naszej trójki. O, bo też było

się z czego cieszyć! Dzieci już nie jedno miłe wspomnienie wywiozły z Topolówki, gdzie kochana wujenka najrozmaitsze im gotowała rozrywki i przyjemności.

— Patrzcie, dzieci, jaka śliczna pogoda! — rzekła mama, wychylając głowę przez okno. — Ani jednej chmurki na niebie, ani wiatru, ani kurzu; mam nadzieję, że i upał nam nie dokuczy, bo za kwadrans już wyjedziemy, za godzinę staniemy na miejscu, a na wsi gorąco nigdy nie jest tak męczące, jak w mieście, wśród rozpalonych murów.

— Co to za kochana, ta nasza wujeneczka! — zawołał Staś z uwielbieniem w głosie — ja nawet nie wyobrażam sobie, żeby w niebie mogło być lepiej, niż w Topolówce.

— Pewno będziemy łódką po Wiśle pływali?— rzekł Jerzy.

— A jak mama pozwoli, to i kąpać się będziemy! — dodała Helenka.

— Nietylko pozwolę, ale i sama z wami pójdę — rzekła mama. — Tutaj w mieście, kąpiel w łazienkach ani zdrową, ani przyjemną być nie może; woda płytka, mętna, a miejsca tak mało, jakby w wannie. Za to u wujenki wszyscy się nacieszymy kochaną Wisełką. A jeśli zdrowo dożyjemy, to w czasie wakacyi, co dzień ta przyjemność

czekać was będzie, bo wujenka zaprosiła mnie z wami na całe dwa miesiące do siebie.

— Ach, co za szczęście, co za szczęście! — wołały dzieci, wyskakując około mamy.

— Wiwat! Konie już przed domem! Lećmy prędko, szkoda każdej minuty.

Jerzy porwał kapelusz i zeskakując po trzy i cztery schody naraz, w kilku susach znalazł się przed bramą, gdzie właśnie upragniony powóz oczekiwał naszych podróżnych.

W parę minut później wszyscy usadowili się wygodnie, chociaż i pakunków było sporo, mama bowiem wzięła na wszelki wypadek ciepłe płaszczyki dla dzieci. W koszyczku widać było rozmaite paczki z dobremi rzeczami dla Michasia i Lili — dzieci wujenki; słowem nie zapomniano o niczem. Gdy powóz ruszył, nastała chwilowa cisza, bo hałaśliwa jazda po bruku, zagłuszając rozmowę, mimowoli zmusza do milczenia. Za to na szosie, wyjechawszy za rogatki, wybornie się rozmawia; z początku też dzieci obrzucały mamę najrozmaitszemi pytaniami: o rodzaj zboża, które spostrzegały, o nazwy wsi, przez które przejeżdżano, gór, które widniały z daleka, drzew rosnących przy drodze, aż w końcu wyczerpała się ciekawość i nastąpiło ostatnie, pełne znaczenia pytanie:

— Ach, mamo! daleko jeszcze do Topolówki?

— Za pół godziny będziemy już u cioci — odpowiedziała mama.

— Pół godziny! To okropnie długo — westchnęła Helenka.

— Żebyśmy przynajmniej mogli się jak zabawić, a tu trzeba siedzieć spokojnie i ani nogą ruszyć.

— Czyż nie można siedzącej zabawy wymyślić? — rzekła mama; — opowiadajcie sobie jakie historyjki, ty, Jerzy, tyle masz ładnych książek, mógłbyś którą z niedawno przeczytanych powiastek mnie i rodzeństwu opowiedzieć.

— Kiedy mi jakoś nic na pamięć nie przychodzi... aha! pysznie, mam zabawę!

— Co, co? powiedz!

— Zrobię wam pewną propozycyę: czytałem wczoraj mitologię dla dzieci. Są tam bardzo zajmujące rzeczy. Wyszukajmy sobie między imionami bożków takie, które od tych samych liter się zaczynają co i nasze imiona, a potem będziemy na siebie wołać: Jowiszu! Minerwo! Neptunie! Dobrze?

— Wybornie. Jakże ja się będę nazywał?

— Ty? S... coby to na S? Aha, będziesz Saturnem.

— Cóż to za jeden?

— To ojciec wielu bogów i bogiń; ale miał bardzo brzydki zwyczaj: obawiając się, by który

z synów po nim nie panował, zjadał ich zaraz po urodzeniu. Biedna jego żona same córki tylko przy życiu zachować mogła i zaledwie trzech synków ocaliła, dając mu do pożarcia kamień zawinięty w pieluszkę.

— A to gamoń! I on się na tem nie poznał?

— A nie; widać nie patrząc, połykał jak pigułki.

— A jak się ci uratowani nazywali?

— Jowisz, król wszystkich bogów, Pluton, król piekieł i Neptun, król morza.

— Wiesz co Jerzy, jabym wolał nie być tym Saturnem, bo to wielki szkaradnik.

— Trudno, mój kochany, ja nie znam innego coby się na S zaczynał. Apollo, bożek słońca i patron muzyki, to nie S. Neptun, Pluton, także nie; Wulkan, bożek kowali, mógłby się dla ciebie nadawać, bo w dzieciństwie spadłszy z nieba na ziemię, złamał nogę tak jak ty, z tą różnicą, że ty spadłeś tylko z trzech schodów; ale też on kulał już potem zawsze, a ty chodzisz prosto. Bachus wiecznie był pijany i na beczce z winem lubił przesiadywać, wcalebym ci nie radził tego imienia. Bożek pól i lasów, Pan, miał koźle kopyta, czy to co pięknego? Wertumnus, bóg jesiennych zbiorów, taki był stary i brzydki, że Pomona bogini owoców, za nic w świecie nie chciała pójść za niego, ledwo, ledwo

dała się namówić. Dobrzeby to było zostać Marsem, bogiem wojny, ale kto się łzami zalewa o lada bagatelę, ten marzyć nawet o podobnym zaszczycie nie może. Wierz mi, najlepszy już dla ciebie będzie Saturn. Zresztą niemasz się czem martwić, bo Jowisz dorósłszy, objął tron bogów i Saturna wygnał na ziemię, gdzie on przebywał długo i wielu pożytecznych rzeczy, a między innemi rolnictwa ludzi nauczył.

— Widzisz więc, że pominąwszy zjadanie dzieci, to był wcale dobry bożek; a już prawdę powiedziawszy, wszyscy oni niewiele byli warci: bo jak Saturn złym ojcem, tak Jowisz był niepoczciwym synem, kiedy ojca zrzucił z tronu i wypędził z nieba.

— A czybyś ty kochał takiego tatę, coby cię chciał zjeść? — spytała ze zgrozą Helenka.

— Pewno, że nie; ale to nawet niema o czem mówić, bo cała mitologia, to tylko same bajki, i pojąć nie mogę, jak dorośli ludzie mogli wierzyć w coś podobnego.

— Cóż robić, to już będę Saturnem. A ty?

— A ja będę Jowiszem.

— Moim synem? To śmiesznie... ojciec młodszy od syna.

— Ale masz włosy prawie białe, to niby tak jak siwe.

— Aha; pewno że z daleka patrząc na mnie, mógłby kto pomyśleć, że to jakiś niziutki staruszek.

— A jakże ja się będę nazywać? — spytała Helenka.

— Ty będziesz Hebe.

— O co to, to nigdy! Takie jakieś szkaradne imię dla mnie wyszukałeś, nie potrzebuję!

— Ależ moja Helenko! Hebe, to była śliczna młoda boginka, która sobie chodziła po niebie z ogromnym złotym dzbanem, pełnym nektaru i wszystkim bogom do brylantowych puharów ten wyborny napitek nalewała. Musiała nawet i sama do kieliszeczka czasem zaglądać, bo raz jej się przydarzyło, że na wspaniałej fecie, w obecności najznakomitszych bożków, przewróciła się razem z dzbanem. Nektar się wylał, okropny kłopot miała Juno, jako gospodyni. No, ale to inna rzecz, zawsze Hebe jest i ładna i milutka, a ty się jeszcze gniewasz, że ci takie imię wybrałem.

— Mamo, czy on prawdę mówi?

— Prawdę, moje dziecko; możesz przyjąć bez wahania imię Hebe.

— A nie mógłbyś mi przecie jakiego innego wyszukać, bo ja nie chcę być taką niezgrabną.

— Skądże ci wezmę? Są różne boginie, ale żadna na H się nie zaczyna i żadna dla ciebie się

nie nadaje. Juno, żona Jowisza, okropnie dumna i zazdrosna, nie dla ciebie. Wenus, bogini piękności, to już w żadnym razie nie ty. Ceres, bogini rolnictwa, opiekująca się żniwami, za stara dla ciebie. Prozerpina, jej córka, którą Pluton wykradł... wątpię czybyś chciała siedzieć w piekle? Choć nie myśl, żeby to w tem znaczeniu było, jak my rozumiemy: starożytni w ogólności pod wyrazem „piekło“, rozumieli mieszkanie umarłych. A moknąć w morzu jak Amfitrite, żona Neptuna? Także nie bardzo miło! Możebyś chciała być Pomoną — tą, co to miała brzydkiego męża? Albo Dyaną, opiekunką myśliwych? Albo Minerwą, boginią mądrości? Trudna rada; sama widzisz, że żadna z nich na H się nie zaczyna. Co ci to szkodzi, bądź sobie Hebe, ja ci zaręczam, że ona była młoda i bardzo przyjemna.

— Kiedy już nie może być inaczej, to niech i tak będzie, ale pamiętaj, jakby ci przyszło na myśl jakie imię na H, to mi zaraz odmienisz.

— Dobrze. Gdybyś była chłopcem, tobyś mogła zostać Merkurym, który u Greków nazywał się Hermes. Był to wyborny bożek; zajmował się przemysłem, handlem, służył wszystkim bogom za posłańca i dlatego miał u głowy i u nóg skrzydełka, żeby prędzej spełniać ich polecenia. Na domiar

wszystkiego, był także patronem złodziei. Cóż chciałabyś być Merkurym?

— Ej nie... to już wolę być Hebą.

— A widzisz? A teraz dla dzieci wujenki co wymyślimy? Michaś może być Merkurym, tylko mu o tych złodziejach nic nie mówmy. Lili śmiało nazwiemy Florą, boginią kwiatów, bo przecież jej imię na prawdę jest Felicya, a przytem taka milutka, biała, różowa, oczka ma niebieskie, wygląda jak kwiateczek... Ach, mamusiu! już widać dwór... co za szczęście! Niech żyje wujenka! Niech żyje Topolówka!

— Prawda, mamo, że ta wieś nazywa się tak z powodu alei topolowej, którą od słupa granicznego aż do samego dworu się dojeżdża?

— Ja także myślę, że dlatego — odpowiedziała mama, — na kilka mil w około niema tak długiej i tak dobrze utrzymanej ulicy, prowadzącej do dworu, jak u wujostwa. Wuj Karol może pod każdym względem służyć za przykład sąsiadom. Zboże u niego najpiękniejsze, owoce w ogrodzie smaczne i w najlepszych gatunkach, budynki gospodarskie w wybornym stanie.

— A jakie mleczko przepyszne od krówek wujenki! — przerwała Helenka.

— A barany taką mają śliczną wełnę — do-

dał Jerzy. — Ja słyszałem, że wujaszek dostaje bardzo dużo pieniędzy za wełnę.

— Wujaszek nie spuszcza się w gospodarstwie na nikogo i chociaż ma uczciwych i wiernych służących, zawsze sam wszystkiego dogląda. Pamięta o przysłowiu: „pańskie oko konia tuczy“. Dlatego też, gdy się żenił przed czternastu laty, zaledwie mu wystarczyło pieniędzy na wzięcie dzierżawy i na konieczne nakłady w gospodarstwie. Wziął się szczerze do pracy, wujenka dopomagała mu ile jej sił starczyło, a przed rokiem, gdy właściciel Topolówki odziedziczywszy ogromny majątek, przeniósł się do wschodniej Galicyi, wujaszek kupił tę wieś, do której przywiązał się serdecznie, gdzie w szczęściu tyle lat przeżył i gdzie rodzice żony na cmentarzu spoczywają.

— Tak nam się z początku wydawało daleko do Topolówki, a tu czas minął jak na skrzydłach — zauważył Staś.

— Właśnie i ja chciałam zwrócić na to waszą uwagę — rzekła mama. — A wiecie, czem się to dzieje? Oto prowadziliście zajmującą rozmowę, tak przed chwilą ze mną, jak poprzednio z Jerzym, i dlatego tak szybko czas uleciał. Jerzy nie umiał wprawdzie opowiadać żadnej powiastki, zajął was jednak opowiadaniem przeczytanej wczoraj mitologii; dowiedzieliście się od niego rzeczy zupełnie dla was

nowych i ciekawych. Chociaż, jak sam słusznie mówi, wszystko to są bajki, zawsze jednak, od dzisiejszego dnia wiedzieć już będziecie, że dawno, dawno, przeszło dwa tysiące lat temu, żyli ludzie, którzy w te bajki wierzyli i tym różnym bożkom cześć oddawali. Ucząc się później historyi starożytnych ludów, spotkacie się nieraz jeszcze z Jowiszem, Dyaną i t. d. i t. d., z którymi dziś, z łaski pana Jerzego. zrobiliście znajomość.

ROZDZIAŁ V.

— A cóżto za miła niespodzianka! Jak się macie, moi kochani goście! — wołała wujenka, wybiegając na ganek. — Poczciwa z ciebie kobiecina, moja Maryniu, że pamiętasz o nas, wiesz dobrze, jak się wami zawsze cieszymy. Dzień dobry, dzieciaki! Dwa miesiące was nie widziałam, a zdaje mi się, żeście znowu urośli.

— Byłam bardzo niespokojna o ciebie, moja droga Jadwisiu, że tak dawno ani zajrzałaś do nas; z początku tłomaczyłam to sobie wiosennemi zajęciami przy gospodarstwie, ale gdy miesiąc minął, a żadne z was się nie pokazywało nawet w Krakowie, napisałam ów list pełen zapytań o ciebie, o Karola,

dzieci wasze, a wreszcie o zdrowie krówek, baranów i świnek, chcąc się dowiedzieć, czy nie spotkało was jakie zmartwienie, choroba, lub kłopot w gospodarstwie. Nie wiedziałam nic o podróży Karola do Lwowa. Odpowiedź twoja uspokoiła mnie zupełnie; wyśmiałaś moje obawy, a przytem wypaliłaś porządną burę... i słusznie. Czyż mogłoby was dotknąć jakie nieszczęście lub strapienie, którem natychmiast nie podzielilibyście się z nami, najbliższymi wam krwią i sercem? No, ale dość już tych sentymentów, muszę cię raz jeszcze za tyle tygodni wycałować, moja złota, kochana! A jak ślicznie wyglądasz! Ktoby to powiedział, że ta biała blondyneczka, to gospodyni zawołana, że te rączki delikatne tyle robić potrafią.

— Ot, widzisz, takie już moje szczęście: chodzę po słońcu bez kapelusza i rękawiczek, nie zważam na przepisy elegancyi i opalić się nawet nie mogę. Żeby chociaż te szkaradne rude włosy chciały spełznąć trochę! Ale gdzie tam! Jeszcze lepiej czerwienieją na lato.

— Ej, nie obrażaj Pana Boga, grzesznico! Żywe złoto masz na głowie, kto cię widzi zachwyca się kolorem twoich włosów, a ty jeszcze grymasisz... chyba dawno nie słyszałaś komplementów i mnie chcesz do nich przymusić?

— Nie, nie, moja droga, żartowałam tylko;

chociaż doprawdy nie złote one, ale miedziane. To jeszcze szczęście, że Karolowi się podobają. Ale, ale! Michasiu... Lili!... Gdzieżeście się pochowali? Ciocia z dziećmi przyjechała!

— My ich sami poszukamy, wujeneczko, pewno są w ogrodzie.

— Ej, zdaje mi się, że poszli piechotą do Mogiły na sumę, bo wczoraj jeszcze prosili mię o pozwolenie pójścia do kościoła z Marcinową, a ja na wasz widok zapomniałam chwilowo, że ich już pewno niema. Za godzinę i my pojedziemy, to się tam wszyscy znajdziemy. Tymczasem biegajcie do ogrodu, a my z mamą pomyślimy o jakiem śniadanku dla biednych podróżnych.

To mówiąc, obie panie weszły do domu, a dzieci poskoczyły obejrzeć wszystkie znajome zakątki; Staś odrazu dobrał się do huśtawki i spotkawszy po drodze ogrodnika Marcina, u którego jest w wielkich łaskach, wyprosił sobie kwadransik bujania pod niebiosy. Jerzy poleciał do stajni, zasięgnąć wieści o zdrowiu pewnego siwka dychawicznego, na którym zazwyczaj młode pokolenie próby konnej jazdy odprawia, a który dla swych lat dwudziestu pięciu „jubilatem“ się nazywa.

Helenka odłączyła się od braci i pogrążona w myślach, ze spuszczoną główką, usiadła na ławeczce pod lipą. Opowiadanie Jerzego o bożkach

starożytności, utkwiło jej głęboko w pamięci i zajęło niezmiernie młodą i żywą fantazyę.

Jakie to były piękne i wspaniałe czasy — myślała sobie dziewczynka, — kiedy ci wszyscy bogowie schodzili z nieba na ziemię i z ludźmi przebywali! Mama powiada, że to bajki; ale tatuś mówił, że w każdej bajce jest połowa prawdy, więc i te wszystkie śliczne historye, choć odrobinkę są prawdziwe... Może to byli jacy sławni, wielcy ludzie, jakie śliczne i dobre kobiety, które na prawdę żyły kiedyś, a potem... zrobiono z nich bożków i modlono się do nich... Jaka ta Wenus musiała być śliczna!

— Ach, Boże... czy ja też będę ładna kiedy? Pewno nie; wszyscy mnie brzydulą nazywają... Albo ta biedna Prozerpina! Jabym dopiero wrzeszczała, jakby mnie Pluton do piekła porywał! Pluton... jak to śmiesznie... u cioci Zosi pies się tak nazywa! A jak to musi być przyjemnie być naprzykład bożkiem słońca, jak ten... nie pamiętam już jak on się nazywał... Ciekawam wiedzieć, co oni pili i jedli ci bogowie? Musiało być coś przewybornego! Jerzy mówił, że Hebe w złotym dzbanku pełno miała nektaru... nektar to pewnie winko słodziutkie, doskonałe. Gdybym była boginią, tobym sobie ciągle popijała! Szkoda, że to już wszystko minęło.

O... na tej górce, gdzie brzoza rośnie, by-

łaby prześliczna świątynia, cała z białego marmuru, ołtarz złoty, brylantami wysadzany, a na nim posąg jakiego bożka... ej, nie, lepiej bogini, naprzykład tej Wenus, co to była najpiękniejsza. A drugi ołtarz, to byłby srebrny, z rubinami i szafirami, a na nim Hebe, czyli ja!

Dopiero co dzień schodzą się ludzie i kłaniają się boginiom i modlą się... a ja stoję na góreczce... chciałam powiedzieć: na srebrnym ołtarzu i patrzę na nich z wysokości. Ale że te posągi były od stóp do głów drogimi kamieniami wysadzane, więc żeby ich nikt nie ukradł... (bo pewno i wtedy byli złodzieje) stawiano przy każdym posągu ogromne żelazne ciężkie słupy i z boku, albo u dołu, przykuwano mocno bożków, żeby ich ruszyć nie było można. O... mam w kieszeni sznurek, co mi Henryś wczoraj darował, przywiążę się do brzozy; będę stała spokojnie, a nibyto będzie mocny łańcuch... tak, jeszcze na jeden węzełek trzeba zawiązać. Poganie się schodzą oddać cześć bogini...

— Aj, aj, aj, aj, mamo, mamo, mamusiu!

Na krzyk przeraźliwy Helenki, szczęściem o kilkanaście tylko kroków od dworu oddalonej, mama z wujenką wybiegły do ogrodu i pośpieszyły na ratunek, zdziwione, co się jej stać mogło, że krzyczy w niebogłosy, a stoi w miejscu i tylko nóżkami tupie a rękami twarz osłania.

— Czego tak piszczysz, Helenko? Chodź-że tutaj!

— Nie mogę, mamusiu... aj, aj, aj.

— Jakto nie możesz? Zaraz mi tu chodź!

— Nie mogę... przywiązana jestem, węzełek się schował za drzewo... ajaj, pszczoły... mamusiu! Prędko, bo mnie pokąsają...

W jednej chwili mama znalazła się przy swej nieszczęśliwej córeczce i szarpnąwszy mocno, przerwała sznurek, którym Helenka do brzózki się przywiązała.

— Cóż to za niemądre figle? Kto ci to zrobił? — spytała mama, odprowadzając Helenkę od kląbu, około którego uwijało się rzeczywiście kilkanaście pszczół, zwabionych wonią rezedy i lewkonii.

— Nikt, mamo; ja się sama przywiązałam — szepnęła, spuszczając oczy dziewczynka.

— Sama? A to na co?

— Tak sobie...

— Ale przecież, musiałaś to zrobić w jakimś celu?

— A nie będzie się mama gniewała?

— No, no, może nie będę.

— Ani się śmiała ze mnie?

— Ani się śmiała... i wujenka także.

— Widzi mamusia, ten kląb i ta brzoza, to

był pogański kościół, a ja byłam boginią brylantami wysadzaną; a żeby mnie nikt nie ukradł, więc byłam przykuta do żelaznego słupa. Tak się ładnie bawiłam, aż te pszczoły nieznośne...

— Nie zważając na boginię, chciały pokosztować nektaru — przerwała, śmiejąc się, mama.

— A piękna Hebe, wcale nie boskim, ani nawet nieludzkim głosem objawiła śmiertelnikom swą trwogę — dokończył Jerzy, z za krzaka słuchający lamentów siostry.

— To wszystko przez ciebie mądralo! Nawymyślałeś rozmaitych bajek, kazałeś mi być Hebą, a teraz to się śmiejesz. Nie wiem, czybyś się śmiał, gdyby cię pszczoły obskoczyły tak jak mnie.

— Bobym się też nie wiązał jak cielątko do drzewa, tylkobym uciekł — raz, dwa i koniec.

— Śliczny mi Jowisz! Król bogów, co przed pszczołami ucieka!

— Urocza Hebe, co kwiczy jak pro...

— Już znowu zaczynacie? — zgromiła surowo mama. — Czy Jerzy zapomniał obietnicy? A może chcecie spędzić parę godzin w spokoju i samotności?

— Mamusiu...

— Cicho — sza — pocałować się zaraz i zgoda — zawyrokowała wujenka, zbliżając dzieci ku sobie. — Teraz pójdziemy na śniadanie, a potem

wio, do kościoła, bo to dziś niedziela. Helenka po winna bardzo ładnie i pobożnie pacierz zmów i przeprosić Bozię, że pogańskie bóstwa wskrze chciała, a co gorsza sama była boginią.

— Ja temu nie winna, to Jerzy mi tak w g wie przewrócił.

— On tylko opowiadał jak było, nie przypuszczając, że ty zaraz świątynię sobie wystawis i na ołtarz się wdrapiesz. A gdzież Staś?

— Marcin go huśta aż do nieba; o... wic wujenka?

— Pobiegnijcież po niego i przyjdźcie razem do jadalnego pokoju.

— Już ja wolę z mamą pójść zaraz — pr siła Helenka, — mogłoby mnie znowu jakie n szczęście spotkać.

Mama i wujenka, wziąwszy się pod ręce, szły rozmawiając ku domowi; Helenka zaś bezpieczna pod ich okiem i pewna, że na wszelki wypadek ma obronę za sobą, biegła o parę kroków naprzód. Doszedłszy do drzwi parapetowych, do sali jadalnej prowadzących, zatrzymała się nagle: Lord, ogromny brytan leżał, wygrzewając się na słońcu i zagra dzał swą potężną osobą wejście do pokoju. Co tu robić? Mama zaraz nadejdzie, bać się niema czego... a jednak ten Lord bardzo duży... ej, może przeci nie ukąsi...



— Niech Lord będzie łaskaw ztąd ustąpić!

Helenka zbierając odwagę, tupnęła nóżką z całej siły:

— Pójdziesz mi stąd, psie szkaradny!

Lord otworzył leniwie jedno oko.

— Słyszysz? Poszedł stąd!

I znów tupnęła nóżką. Lord podniósł głowę i pokazał zęby. Oj źle! A tu jak na złość mama zatrzymała się przy inspektach. Uciekać? Tata mówił wczoraj jeszcze, że nigdy nie trzeba uciekać przed psem, bo wtedy najprędzej skoczy i ukąsi... Leży sobie jak basza i ruszyć się nie chce; co robić?

Dziewczynka poszła po rozum do głowy i biorąc delikatnie spodniczkę z obu stron w paluszki, dygnęła, jak umiała najpiękniej:

— Niech Lord będzie łaskaw się ustąpić.

— A komu to Helunia kłania się tak ładnie? — spytała wujenka, która tymczasem doszła z mamą do ganku.

— Lord nie chce mnie puścić...

— A to niegrzeczny i źle wychowany anglik; dama go prosi i dyga tak zgrabnie, a on leży i ani myśli się ruszyć. Poczekaj, może mnie jakoś prędzej posłucha. — Wujenka pogłaskała faworyta, który też na widok swej pani wstał zaraz i przeciągając się, a ziewając głośno, powędrował na zwy-

kłe swe miejsce pod stołem, gdzie lubił zwłaszcza podczas obiadu i śniadania przesiadywać.

— Na co wujenka trzyma tego olbrzyma?— spytała Helenka, siadając z pewną obawą przy stole.

— Moje dziecko, ten olbrzym, to nasz stróż wierny i przywiązany; on biega w nocy dokoła domu, broni nas od złodziei, pod jego strażą spokojnie spać możemy. Wujaszek kupił go małem szczenięciem i nauczył niezbędnej dla psa podwórzowego, jeśli można się tak wyrazić — cnoty, a tą jest, że z niczyjej ręki nie jada, tylko z jego i mojej. Taki pies otruć się nie da, próbowaliśmy nieraz wziąć go na pokuszenie, rzucając kawałki mięsa po podwórzu. Patrzy, powącha i odchodzi. Ale ile to czasu i cierpliwości trzeba było, by doprowadzić do tego! Najsmaczniejszy kąsek, jeżeli tylko nie z naszej ręki, zostawia nietknięty. Może się chcesz przekonać? Daj mu kawałek szynki, zobaczysz, że nie ruszy.

— Kiedy się boję...

— Nie bój się; on jest bardzo łagodny, zwłaszcza dla dzieci. Nigdy jeszcze nie ugryzł nawet zupełnie obcego dziecka.

— To ja mu dam, — rzekł Jerzy, który wchodząc właśnie ze Stasiem usłyszał koniec rozmowy.—Masz, Lordusiu kochany! Zjedz to, zjedz;— głaskał psa po głowie, gwałtem prawie wpychając

mu do pyska śliczną, tłustą szynkę. Pies jednak odwracał się jakby z niechęcią, obojętny na wszystkie namowy.

— Widzisz, jaki poczciwy? Tak mu pan kazał i słucha święcie, choć głodny, bo dziś jeszcze nie dostał swojej porcyi. Trzeba go wynagrodzić. Lord, pójdź tu! masz... widzicie jak zjadł ze smakiem? Jeszcze się oblizuje. Poczekaj piesku, poczekaj; państwo pierwej zjedzą, to i ty śniadanie dostaniesz.

No, dzieci, bierzcie się do roboty; co kto chce: szynka, jaja na miękko, chleb z miodem, albo z bryndzą majową, proszę jeść, nie grymasić, herbatką wszystko pokropić; mama także niech się nie każe prosić, bo dopiero dziewiąta, do obiadu jeszcze daleko, a kto wie jeszcze, jaki ten obiad będzie, bo nasz Józef bardzo poczciwy człowiek i dobry kucharz, ale w niedzielę zawsze jakoś z rana rozmaite ma strapienia i na frasunek... a potem bieda z obiadem.

— Ciociu, a gdzie Wujaszek? — zapytał Staś spojrzawszy, jakby szukając po pokoju.

— Wyjechał przed dwoma tygodniami do Lwowa, gdzie ma rozmaite ważne interesa do załatwienia; ale miałam list wczoraj, w którym pisze mi, że najdalej w poniedziałek, to jest jutro, a może dziś jeszcze wieczorem powróci.

— A dlaczego wujenka nie przywiezie Lili

do Krakowa, tak jak obiecywała przeszłego roku? — mówiła Helenka. — Myśmy się tak cieszyli, że będzie u nas mieszkać i razem z nami się uczyć.

— Ot, jakoś trudno mi rozstać się z moją jedynaczką. Dotąd sama ją uczę i jakoś nieźle mi to idzie. Na przyszły rok, Lili kończy lat dziewięć, a wtedy niestety, będę musiała odwieźć ją do miasta. Cóż robić! Pocieszam się, że jej u was będzie dobrze jak w domu. Z pensyą, gdzie tylko kilka godzin spędzać będzie, łatwo się oswoi, a ja, mając tyle zajęcia, nie znajdę czasu na zbytnią tęsknotę. Zresztą, mila drogi... co parę dni wpadnę choć na godzinkę, zajrzeć na moją jedynaczkę.

— Proszę pani, konie już gotowe, — oznajmił Jan służący, wchodząc do pokoju.

— A zatem, śpieszmy się, żeby się nie spóźnić na sumę — rzekła mama, wdziewając kapelusz i rękawiczki.

Za chwilę, całe towarzystwo rozmawiając wesoło, wsiadło do otwartego powozu, który zajechał przed ganek. Jerzy zajął honorowe miejsce obok furmana na koźle, Antoni palnął z bicza, konie pomknęły żwawym kłusem, a w kilka minut potem, już ani furkotu na szosie dosłyszeć nie było można. Lord, który wybiegł za bramę, żegnając odjeżdżających państwa, wrócił powoli, ze spuszczonym ogonem, na zwykłe swe stanowisko przed drzwiami jadalnego pokoju.

ROZDZIAŁ VI.

Nie potrzebuję wam opisywać radosnego powitania Michasia i Lili z naszemi dziećmi. Stali oni właśnie pod drzewami z Marcinową, gdy powóz przed kościół zajechał. Wykrzykniki, śmiechy, całusy, nie byłyby miały końca, gdyby właśnie trzykrotny odgłos dzwonka, zwiastujący początek sumy, nie położył tamy serdecznym uściskom. Sześcioletni Michaś, z powagą dorosłego kawalera podał rękę o cały rok młodszej od siebie Helence, Staś i Jerzy równocześnie stanęli przed Lilą, prosząc, by sobie parę wybrała. Sprytna dziewczynka, znając wojownicze usposobienie kuzynków swoich, wiedziała na pewno, że i we drzwiach kościoła poszturchać się gotowi. Dla świętej zatem zgody, stanęła między nimi, jak panna młoda wśród drużbów, i tak pompatycznie, wolnym krokiem pomaszerowali aż do ławki, zwykle przez rodzinę wuja Karola zajmowanej.

Podczas Mszy św. dzieci sprawiały się bardzo przykładnie. Starsi czytali modlitwy na swoich książeczkach, a mała Helenka, zapatrzona w złote aniołki nad ołtarzem, odmawiała pacierz ze skruchą, przepraszając Bozię, że tak brzydko w pogańską boginię zamienić się chciała.

Nabożeństwo skończyło się przed dwunastą;

dzieci znużone długiem siedzeniem na miejscu, chciały koniecznie piechotą wracać do domu.

— Pozwoliłabym chętnie na ten spacer — odpowiedziała na prośby Jerzego Wujenka; — trzy kilometry, to podróż nie wielka, ale... przygotowałam dla was pewną niespodziankę, która właśnie wymaga, byśmy wracali razem.

Dzieci zaciekawione obietnicą, bez namysłu wskoczyły do powozu i choć trochę ciasno było, jakoś się wszyscy pomieścili.

— Mamo! Jaka to niespodzianka? — pytał Michaś, błagalnym wzrokiem spoglądając na matkę.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

— Jaka mamusia nie dobra! Tak nas męczy... jeszcze w dodatku taki upał, możemy dostać gorączki.

— Nie bój się; za kilka minut dowiecie się o wszystkiem.

Oczekiwanie zamknęło usta dzieciakom. Rozglądali się tylko na wszystkie strony, w nadziei, że coś szczególnego zobaczą. Oprócz jednak wieśniaków powracających z kościoła, nic zajmującego nie można było spostrzedz na drodze.

— Ach, mój Boże! — westchnęła Helenka.

— Mnie się zdaje, że my już ze dwie godziny jedziemy.

— A mnie tak serce bije, że ani mówić nie mogę.

— A to co? Gdzie on jedzie? Zamiast na lewo do Topolówki, skręca na prawo... zawołała cichutka dotąd Lili.

— Pani kazała, — lakonicznie odparł Antoni.

— Zgadłem, zgadłem! Wiwat! — wykrzyknął tryumfalnie z kozła Jerzy.

— Co zgadłeś? Powiedz! — Chórem zawołały dzieci.

— Nie widzicie dudki, że zjeżdżamy ku Wiśle?

— No, to co?

— No, to to, że pewno będziemy się kąpać.

— Tere fere kuku! A nasze ubrania kąpielowe w Krakowie — zaśmiał się Staś.

— A nasze w domu, — rzekł Michaś.

Tymczasem, zjechawszy niedaleko od brzegu Wisły, Antoni zatrzymał konie. Jerzy zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki, obie mamy i dzieci wysiadły z powozu, a wujenka wskazując z uśmiechem na ogromne zawiniątko, które Antoni z pod kozła wyjmował, rzekła do malców:

— Jerzy odgadł pół zagadki, wzięłam w sekrecie z domu ubrania kąpielowe, i prześcieradła, a że czasu do obiadu mamy jeszcze dosyć, śmiało więc wypluskać się możemy w zimnej wodzie, co

zwłaszcza na gorączkę Michasia będzie skutecznem lekarstwem.

— Tak, ale my nie przywieźliśmy z Krakowa naszych koszulek — szepnęła żałośnie Helenka.

— Nie martw się, moja chrzestna córeczko; spodziewając się przybycia waszego na wakacye, przyrządziłam dla wszystkich, nie wyłączając mamy, wspaniałe kostiumy kąpielowe.

To mówiąc, wujenka rozwiązała pakunek i wydobyła zeń wspaniałe w istocie ubranka z szarego płótna, pąsową tasiemką suto poobszywane.

— A tu macie łyczkowe pantofelki, wprawdzie niezbyt eleganckie ale bardzo praktyczne, bo na dnie rzeki mnóstwo jest ostrych kamyczków. Antoni może już jechać do domu, a powiedzcie Basi, że dzięki jej niedbalstwu nie mogę się kąpać. Zawinęła wszystkie bluzy do prześcieradła, prócz mojej. Przykażcie też Józefowi, żeby się spieszył z obiadem.

Mama z dziewczętami poszła w górę rzeki, gdzie głęboki zakręt tworzył zatokę i przedstawiał wyborne miejsce do kąpieli.

Ciocia zaś usiadła pod wierzbą nad brzegiem, pilnując chłopców. W mgnieniu oka chłopaki przebrali się w swe kostiumy, przywiązali pantofle mocno, żeby z nóg nie spadały i trzymając się za

ręce, rozpoczęli schodzić powoli do rzeki, która w tem miejscu miała brzeg wcale wysoki i stromy.

— Hu! Jaka zimna woda! Ja dalej nie pójdę, — protestował trochę tchórzem podszyty Staś.

— Trzeba właśnie odrazu się zanurzyć, — tłomaczył Michaś, — my już od tygodnia co dzień się kąpiemy i przekonałem się, że najlepiej jest wskoczyć prędko do wody. Tylko tutaj trochę się boję, bo zwykle kąpiemy się blizko domu za ogrodem, a tu nie próbowałem jak głęboko.

— To też, broń Boże, nie odchodźcie daleko; — zapowiedziała wujenka. — Wisła ma dno nierówne, moglibyście wpaść w dół jaki, najlepiej skaczcie sobie blizko brzegu.

— No, proszę nie marudzić! — zawołał Jerzy. — Ja będę rachować, a jak powiem trzy, to się wszyscy zanurzymy po szyję w wodzie. Dobrze? A więc: raz, dwa, trzy, plumm!

— A co? czy nie lepiej tak od razu?

— Ciekawym co dziewczęta robią? One są tutaj zaraz za tym zakrętem, tylko wiklina je zakrywa: Hop, hop, Lili!

— Hop, hop! — zapiszczały dwa głosiki.

— A dobrze wam?

— Pysznie!

— Wiecie, chłopcy, jabym miał straszną ochotę nauczyć się pływać. Jak przyjedziemy na waka-

cye, to poproszę Marcina, żeby mnie uczył; on wybornie pływa. Widziałem przeszłego roku, jak sobie jechał po głębokiej wodzie, to leżąc, to stojąc, to bokiem, to na plecach. Jabym chciał koniecznie tak umieć.

— A gdybyś widział jak jego Jasiek pływa doskonale, a jaki silny! — zachwycał się Michaś, — ma dopiero dwanaście lat, a mocniejszy od niejednego dużego parobka.

— Ale, ale, moi państwo! — dał się słyszeć głos niewidzialnej mamy, — proszę wychodzić z wody. Dla tych, co pierwszy raz się kąpią i tak już może zadługo tego dobrego... Aj! dzieci, łapajcie! pantofel zsunął mi się z nogi i ucieka; albo lepiej dajcie pokój, boję się, żeby się które z was nie przewróciło, albo w głębię nie zaszło.

— Niech sobie płynie do Gdańska! — zawołał Staś.

— Biedny pantofel! Szkoda, że go już nie złapiemy — żałowała Helenka. — Czy on doprawdy aż do Gdańska popłynie?

— Jak możesz nawet wątpić o tem? — z powagą mentora odparł Jerzy. — Wiemy przecie wszyscy (a kto nie wiedział, niech się nie przyznaje), że Wisła wpada pod Gdańskiem do morza Baltyckiego; jeżeli więc łodzie, tratwy, galary, a od Zawichosta nawet parowce płyną po niej, gdzie chcą,

aż ku morzu, tem łatwiej więc mały i lekki pantofelek potrafi jak nic przebyć tę drogę.

— Jeżeli go tymczasem tysiąc przeszkód nie zatrzyma — dodała, śmiejąc się mama. — Zapomniałaś o tem, że statki kierowane ręką ludzką, omijając wiry i mielizny, płyną po głębinie. Gdy przeciwnie, każdy mały przedmiot rzucony na wodę, zależy od lada gałązki, lub korzenia wystającego przy brzegu... może osiąść na piasku... a czy ja wiem nawet, jakie przygody spotkać go mogą.

— Mama nam złudzenia odbiera! Aha? Ja słyszałem kiedyś, jak tata mówił à propos św. Mikołaja, że nie trzeba dzieciom złudzeń odbierać.

— A ty sam, co robisz w tej chwili względem młodszego rodzeństwa? — roześmiała się mama.

— Non intelligunt! Ale tymczasem wyobraźmy sobie, że mamy pantofel zwyciężywszy rozliczne przeszkody, po wielu a wielu przygodach, dopłynie do Warszawy... kto wie, czy nie jestem dobrym prorokiem, bo już go nawet dojrzeć nie mogę; widać ostro bierze się do rzeczy i naprzekór mamusi, zapragnął zwiedzić Gdańsk i w morzu się wykąpać.

— Ja go jeszcze widzę! — zawołał Staś — płynie sobie ładnie środkiem... ot tam... malutki punkcik; bywaj zdrów drogi przyjacielu!

— Szczęśliwej podróży!

— Nie zapominaj o nas!

— A kłaniaj się cioci Andzi w Warszawie!

— I Alince!

— Patrzcie, patrzcie! Co tam widać z daleka?

— Jakaś łódka, — zawołał Staś, uchodzący w rodzinie za ostrowidza.

— Ale nie, to coś bardzo maleńkiego — zaprzeczył Jerzy.

— Nie sprzeciwiaj się, kiedy nie widzisz; pamiętasz, jakeś pisał pierwszy raz do „Wieczorów rodzinnych" i pseudonimu sobie znaleść nie mogłeś...

— Toś ty mnie przezwał ślepowronem. Ale zapomniałeś pewno, co potem nastąpiło?

— Wielkie rzeczy! Dałeś mi linią po łapie. Ale dopiero to najlepsze, co w końcu się stało; myślisz może, że nie wiem, choć nie przyznałeś się przede mną? Mama cię za to zamknęła na dwie godziny w swoim pokoju. No, ale to już bardzo stare dzieje. Patrzajcież! Teraz i ślepowrony przyznać muszą, że łódka się do nas zbliża. Duża łódka! Co ja widzę! Marcin ze swoim Jaśkiem w niej siedzi.

— I to jest właśnie druga część niespodzianki — oznajmiła wujenka. — Resztę drogi do Topolówki popłyniemy łodzią i w tym celu kazałam przyjechać po nas Marcinowi.

— A zmieścimy się wszyscy? — spytała Helenka.

— O i bardzo wygodnie. Łódź jest na dwanaście osób.

— A nas jest... raz, dwa, cztery, siedmioro — porachował Michaś.

— A Marcin i Jasiek, to dziewięć. Ale czy oni nas udźwigną?

— Jaka ta Helenka zabawna! Przecie to łódź i woda będzie nas niosła, oni tylko wiosłują.

— A z biegiem rzeki płynąć, to nawet bardzo lekko i łatwo.

— A zatem, w imię Boże! Czy dzieci nie zapomniały czego?

— Nie, mamy wszystko! — odpowiedziano chórem!

— A to czyj medalik w trawie leży?

— Ach, pewno mój! — zawołał Jerzy. — Tylem się go naszukał, pewny byłem, że chyba wpadł do wody.

— Wron, wron, Ślepowron! Bum, bum, dziń, dziń!

— Proszę cię, nie zaczynaj! Ja chcę być dzisiaj dobrym, ale jak mi będziesz co chwila dokuczał...

— Widzicie go! Jaki mi łaskawca... chce być dobrym, ale żeby mu nie dokuczać. Cha, cha, cha,

wielka sztuka! To każdy potrafi; ale bądź dobrym, choć ci na złość robią!

— Niechże Staś pamięta i sam się do tej pięknej maksymy stosować — rzekła mama.

— A tymczasem dosyć dysput, proszę podawać ręce Marcinowi i kolejno wskakiwać do łodzi. Już? To dobrze; teraz mamy, a potem wio do Topolówki.

— Czy my już płyniemy, czy mi się w głowie zawraca? — spytała Helenka, — zupełnie mi się zdaje, że stoimy w miejscu, a brzegi w tył uciekają.

— A prawda... i mnie się tak samo wydaje.

— I mnie!

— I mnie!

— Tylko się tak nie kręćcie moje dzieci, bo chociaż miejsca jest dosyć, ale przecież na spacery i tańce trochę za mało. Łódka się przeważy i będzie kłopot.

— Ach, jak ślicznie tutaj! Przy brzegu tyle drzew rozmaitych, tam dalej góry widać tak wyraźnie, tyle wsi rozmaitych naokoło, słońce ślicznie świeci, a wcale nie zagorąco...

— Ja proponuję, żebyśmy wszyscy w dowód wdzięczności, uklękli przed wujenką i rączki jej ucałowali.

— Przyjmuję tymczasowo chęć za uczynek



Tu Jasiek wyciągnął tryumfalnie jakiś przedmiot!

i proszę o hołd dziękczynny, ale na stałym lądzie, bo tutaj, jak już mama wam powiedziała, trzeba siedzieć spokojnie.

— Już panicze i panienki za pięć minut będą w ogrodzie — wtrącił się do rozmowy Marcin.

— O szkoda! Jabym tak płynęła, płynęła...

— A obiad? — przerwał praktyczny Michaś.

— Jasiek! A ty co wyprawiasz? Chcesz państwo wywrócić? Co tam wiosłem aż do brzegu sięgasz?

— Bo mi się widzi, tatusiu, ze tam jakisik kosycek we trzcinie lezy...

— Gdzie koszyczek? Jaki? Pokaż! — wołały dzieci.

— A, o! — tu Jasiek wyciągnął tryumfalnie końcem wiosła przedmiot jakiś, uplątany w nadbrzeżnej wiklinie.

— Pantofel! pantofel! Mamin pantofel!

— Nieboraczek! Niedaleko zajechał.

— A może mu odwagi zabrakło w świat nieznany się puszczać.

— A może nie miał siły oddalić się ze stron rodzinnych...

— Poczciwiec! wolał pozostać w Topolówce! — zakończył uwagi rodzeństwa Jerzy. — Jasiek, dawaj go tu!

I odebrawszy drogocenny przedmiot z rąk Jaśka, z galanteryą wręczył go mamie.

— A teraz wysiadajmy, — rzekła wujenka, powstając z ławeczki, gdy Marcin przybił do brzegu. — Tu jest brzeg nizki i wygodnie możemy wylądować. Potem już tylko przez ogród przejdziemy i już jesteśmy w domu.

Za kilka minut całe towarzystwo znalazło się we dworze. Wujenka naturalnie pobiegła czemprędzej do kuchni zajrzeć na Józefa i z zachowania jego wybadać, czy obiad będzie dobry, lub nie. Szczęściem jakoś przyjazd gości wzbił kucharza w ambicyę i dzięki temu szlachetnemu uczuciu, lekarstwo na frasunek pozostało w schowaniu aż do popołudnia. Obiad też był doskonały, a po kąpieli i przejażdżce tembardziej wszystkim smakował.

ROZDZIAŁ VII.

— Cóż teraz będziemy robili? — pytały młodsze dzieci Jerzego, wybiegając po obiedzie do ogrodu.

— Albo ja wiem... ciocia z mamą poszły się przedrzemać, musimy więc cicho się sprawiać, albo iść trochę dalej w ogród. Ale jak się będziemy bawić, to doprawdy nie wiem.

— A gdybyśmy poszli do stajni z Marcinem i poprosili o siwka? — zaproponował Staś.

— Może mamy będą się gniewać? — rzekła Helenka.

— Ale, broń Boże! Gdzież jabym śmiał wymyślać coś podobnego, gdybym nie słyszał jak mama z wujenką rozmawiały przed obiadem o siwku. — Muszę posłać Marcina po naszego jubilata — mówiła wujenka — poczciwe konisko, bezpiecznie dzieci przejechać się mogą, on już choćby chciał, krzywdy im nie zrobi, bo ledwo stępa iść potrafi, a figle mu wcale nie w głowie.

— A to chodźmy; przejedziemy się po starszeństwie, każde raz naokoło trawnika.

Marcina nie było pod ręką, ale w stajni znalazł się Antoni. Do niego więc udały się dzieci, wysyłając pierwej Lilę w deputacyi, gdyż mrukliwy stangret bardzo był do swojej panienki przywiązany, zawsze chętnie jej usługiwał, a nawet często z własnego natchnienia urządzał jej rozmaite niespodzianki. Ponieważ w zimie wolnych chwil miał dosyć, a zręcznie bardzo strugał i kleił rozmaite sprzęciki drewniane, od czasu do czasu więc, zaopatrywał lalki swojej panienki w nowe łóżeczka, komody, szafy, słowem, w najrozmaitsze meble. W lecie mniej mając czasu, mniej się też bawił stolarką i nie tyle mógł fabrykować, co w zimie; na-

pracowawszy się bowiem dzień cały, niełedwie razem z kurami do snu się układał.

Lili zachwycała się tymi wyrobami swego przyjaciela i rzeczywiście zasługiwały na wszelkie uznanie: zgrabne były i mocne, wcale nie tak, jak zabawki fabryczne, co się same w rękach rozłatują, a cóż dopiero, gdy ze stołu na ziemię spadną.

Z całą ufnością faworytki, podbiegła Lili do Antoniego, który siedział we drzwiach stajni, i chmurny, jak ranek listopadowy, nakładał sobie fajkę. Dziewczynka wiedziała z doświadczenia, że ten wyraz twarzy zagniewany, był u stangreta pozornym tylko; a chociaż niekiedy Antoni wpadał naprawdę w zły humor, dla Lilusi miał zawsze humor dobry i wesoło ją witał.

— Mój Antoni kochany! Zrobi mi Antoni jednę rzecz?

— Aha, pewno fortepijon dla lalki? A jużci, niedługutko będzie, ino za słuzbę mam podziękować i duchem do Widnia na naukę pojadę.

— Ale nie fortepian, nie, tylko...

— Tylko tę kanapę ze sprężynami com Lilusi obiecał? A jakze, juz się robi!

— Ale niechże mi Antoni nie przerywa!

— Uhu? Takie małe i juz człeku milceć kaze! Ady słuchom, słuchom.

— Mój złoty Antoni! My byśmy się chcieli przejechać.

— Takem prędko pozłociał? A do cegos jaśnie panienka roskaze zapsęgać? Cy do karyty, cy do landa, cy dwa kunie, cy śtyry?

— E... bo Antoni zawsze ze mnie żartuje.

— Jakto zartuje? Mówię do Lilusi z reśpektem, jako się nalezy, dośwjadcom się, co mam rychtować?

— Ależ kiedy my chcemy tylko dokoła trawnika, na siwku.

— Bece... tylo subiekcyje o te śkape; cemuz panienka zaraz nie powiedziała?

— Albo mi to Antoni dał skończyć?

— Rychtyk takem se myśloł że to bedzie moja wina, a juści. Za pokute psyniosę Lilusi jutro taki fotyl, co jaze się ocy do niego śmiejom.

— Oj, dobrze, dobrze! Właśnie ta stara lalka chora trochę na nogi, to sobie będzie miała na czem wygodnie odpoczywać.

— Chora? A moze jej doktur kaze casem pośpacerować? To jej do fotyla dorobie kółka, bo jakze, kiedy ją nogi bolom!

— Tak, tak, doskonale! Będę z nią wyjeżdżać w południe na godzinkę do ogrodu; chociaż nie mam wielkiej nadziei, żeby przyszła do zdrowia, bo właśnie przedwczoraj upadła i stłukła sobie prawą nogę.

— Niechno Lilusia ją do mnie psyniesie, moze jako nakleimy.

— Ach, mój Antoni! Nic z tego nie będzie; ja już sama chciałam posłać ją do was na kuracyę, ale potrzaskała nogę na drobne kawałeczki. Jeszcze dobrze, że w długich sukniach chodzi, to jakoś nie widać.

— Lili! Cóż ty wyprawiasz? Zapomniałaś o nas, czy co? Gada i gada, a my czekamy godzinę i nudzimy się przez ciebie.

Tak wołał Staś, nie mogąc doczekać się pomyślnego końca poselstwa kuzynki.

— Zaraz, zaraz; ja tu o ważniejszych rzeczach miałam do mówienia. Mój Antoni, wyprowadźcie im tego siwka, niech sobie pojeżdżą.

— Ja się boję; jeszczebym spadła, — rzekła Helenka.

— Wstydź się, tchórzu! — zgromił ją Michaś, — przecie koń, to tylko tak, jakby wielki pies.

— To też ja się i wielkiego psa bardzo boję!

— A pamięta Michaś jak wcora psed gęsiami uciekoł? A psecie co kuń to nie gęś.

— Ale, zdawało się Antoniemu; ja tylko próbowałem kto prędzej biega, czy ja, czy ten stary gąsior...

— Aha! I psekonał się panie, jako duzo lepiej potrafi umykać niz ten gę-

goc. Tylo nie wiem, po co było do kuchni wpadać i dzwi zatsaskiwać?

— Ha, ha, ha... rycerz! — zaśmiały się dzieci chórem.

— Któż pierwszy pojedzie? — spytała Lili, chcąc odwrócić uwagę towarzystwa od zawstydzonego Michasia.

— Umówiliśmy się przecie, że po starszeństwie.

— No, to siadaj, Jerzy.

— Antoni, pomóżcie mi, bo sam nie potrafię. Moglibyście podłożyć jaką derkę do siedzenia, ten staruszek chudy okropnie, o... jak mu ta kość pacierzowa wystaje.

— A jaki to z panica wydziwioc! Młodemu i na kamieniu powinno być wygodnie. Nie mam derki.

— Mój Antoni! A ja, biedna, także bez derki pojadę?

— Lili, panienka, to co insego. Dla Lilusi mam nowiutki cerwony kocyk.

— O, to niesprawiedliwość, niesprawiedliwość! — zawołali chłopcy z oburzeniem.

— Ale gdzietam! Sprawiedliwie powiadom, co tylko lo panienek mom derkę.

— Jak nie dacie dla wszystkich, to i my nie pojedziemy, — wskakując na ławkę szepnęła mu do ucha Lili.

— Że teżto Pon Jezus kużdej kobicie nawet takiej maluśkiej, nie pożałował upartości. Panienka powinna się nazywać kozusia, a nie Lilusia.

— Jakże będzie? Pojedziemy czy nie? — śmiała się dziewczynka głaszcząc rączką po twarzy wąsacza.

— Na macie se koc, róbcie co chcecie.

— A jak które z nas spadnie i nogę złamie, to nie będzie Antoniemu żal?

— Coby mi miało być żal? — odburknął stary; mówiąc to jednak uśmiechnął się pod wąsem.

Podniósł i posadził Jerzego na konia, a gdy chłopiec klepiąc siwka po szyi i cmokając ku zachęcie, rozpoczął przejażdżkę od stajni ku dworowi i naokoło trawnika, poczciwy Antoni towarzyszył mu z troskliwością, pilnując, by się przypadkiem nie zsunął ze wspaniałego wierzchowca. Wszystkie dzieci kolejno użyły przejażdżki, aż się biedny siwek nieprzyzwyczajony do pracy, porządnie zasapał.

— Dziękujemy Antoniemu za siwka i za kocyk, — rzekła Lili, żegnając się ze starym przyjacielem.

— Dziękujemy! Dziękujemy! — powtórzyły wszystkie dzieci.

— Mój drogi Antoni... a nie zapomnijcie o kółkach do fotela.



Wszystkie dzieci kolejno użyły przejażdżki.

— Niech Lilusia poprosi mamy o jaki płatecek wełniany abo jedwabny, to jesce pięknie obije to karło, zeby psecie taka starso osoba miała na cem siedzieć wygodnie.

— Jutro wam przyniosę. Bądźcie zdrowi!

Dzieci odbiegły w podskokach, a stary furman wrócił do swej ławki przed stajnią i zapalając fajkę, szeptał sam do siebie: Niech cię Pan Jezus chowa złota rybko pseslicno! Zebyś urosła piękna i dobra, jako twoja mama nalepsa jest pani na ziemi.

— A teraz pocichutku, na paluszkach, wejdziemy do jadalnego pokoju, — rzekła Lili — zobaczmy przez drzwi, czy nasze mamy się nie obudziły.

— Wiesz co, idź lepiej sama, — odparł Jerzy — moje buty skrzypią okropnie; im bardziej bym się starał, tem większegoby hałasu narobiły. Tyś taka zgrabna, jak myszka, wszędzie się wciśniesz i nikt cię nie posłyszy. Idź, idź, my na ciebie tu poczekamy.

— Jeszcze śpią — oznajmiła po chwili niecierpliwemu towarzystwu Lili, wychylając główkę przez okno. — Lepiej pobiegnijcie do sadu, tam będziemy mogli skakać i dokazywać, a mamy się nie obudzą. Ja tam zaraz przyjdę za wami.

— Ach, jaka śliczna róża! Jeszczem takiego koloru nigdy nie widział. Prawie czarna, a jak spojrzeć do światła, to widzi się, że czerwona. Jak pachnie cudownie... aa... — mówiąc to Staś pełen zachwytu, schował prawie cały nosek pomiędzy płatki kwiatu i przez parę sekund napawał się jego wonią.

Nagle Helenka uderzyła go rączką w czoło i z wyrazem przestrachu szarpiąc braciszka gwałtownie za rękę, zawołała:

— Daj pokój Stasiu! Nie wąchaj tej róży! Nie wąchaj! bo umrzesz...

— Co ona wyplata?

— Czy ci się co przyśniło?

— Wy mię zawsze macie za głupią, ale ja wam powiadam, że się bardzo mylicie... o... wcale nie jestem takim dudkiem. A na dowód, że i teraz mam słuszność, przypomnę wam co przed kilku tygodniami jedna pani mamie opowiadała: czytała w jakiejś gazecie, że pewna kobieta, powąchała bardzo ładnie pachnący kwiatek, i niedługo potem dostała okropnego bólu głowy, aż prawie zwaryowała; męczyła się dosyć długo i nareszcie umarła. Doktorzy bardzo byli ciekawi co to za choroba, więc po śmierci pokrajali ją na kawałeczki, ale nic w niej nie znaleźli zepsutego, wszystko miała tak

jak inni ludzie. Na końcu, rozcięli jej głowę... a w głowie... znaleźli...

— No co? Gadajże!

— Robaka na sensie! Widzicie? Ten robaczek siedział w kwiatku, ona go wciągnęła do nosa, a stamtąd dostał się do sensu.

— Do jakiego sensu? Chyba do mózgu?

— Mózg, rozum, sens, to przecież wszystko jedno; ja tam nie wiem, jak się mówi, ale przecież w głowie jest rozum, a jak kto nie mądry, to powiadają, że niema sensu w głowie.

— Mnie się przecież zdaje, żeś ty albo źle słyszała, albo ci się może co przyśniło. Ja wcale nie pamiętam nic podobnego.

— Nie pamiętasz, bo przy tem nie byłeś; przecież cały ranek w szkole siedzisz, a ta pani była u mamy przed południem. Aha! Teraz nawet już wiem, która to pani: to ta co ma Adasia. Wiesz?

— Musimy się taty spytać, jak wrócimy do domu; tata będzie najlepiej wiedział, czy to prawda.

— Na wszelki wypadek mój Stasieczku wytrzyj sobie nos doskonale. Proszę cię! Zrób to dla mnie!

— I owszem, jeśli ci to sprawi przyjemność.

— Wiesz co, Helenko? Niech sobie chłopcy

sami pobiegają po ogrodzie, a ja cię zaprowadzę do naszego pokoju; nie widziałaś jeszcze moich lalek, teraz tak gorąco, lepiej nam będzie bawić się w pokoju.

— Aaaa, nie chcecie nas, panny? — obrażonym tonem, rzekł Jerzy. — Pamiętajcież, żebyście nas potem nie wołały, bo nie przyjdziemy.

— Ale owszem, chodźcie, bawcie się z nami! — zawołała zgodę miłująca Lili. — Ja tylko myślałam, że chłopcy lalek nie lubią i nie śmiałam was prosić do mego pokoiku.

— Kiedy tak pokornie chcesz winę swoją naprawić, to ci musimy przebaczyć. A że lalki to naprawdę wielkie nudziarstwo, zatem, idźcie sobie same do nich, a my tymczasem galop do sadu; może się znajdzie jaka truskawczyna, choć na sprobowanie.

Młodsi chłopcy pobiegli pędem za swoim dowódzcą, a Lili z Helenką przeszły na paluszkach przez pokój jadalny, jeszcze ciszej i ostrożniej przez sypialny, potem przez dwa małe saloniki, aż odetchnęły swobodnie, w ślicznym, wesołym pokoju dziecinnym.

— Widzisz, Helenko, ta połowa pokoju i jedno okno, to moje królestwo — rzekła Lili, wskazując ręką na prawo. — Tu stoi moje łóżeczko, szafka z zabawkami i stolik przy którym się uczę.

Dawniej, jak pamiętasz, sypialiśmy przy mamusi; dopiero od nowego roku mamy swój pokój. A tu na lewo, panuje Michaś. Na granicy obu królestw, komoda z wspólną naszą bielizną i z sukienkami. Nie gorsz się, że dziś trochę u nas porozrzucano i nieporządnie; ale rano byliśmy w kościele, a potem z radości żeście przyjechali, zapomniałam posprzątać i teraz się wstydzę.

— Jakto wstydzisz się? U ciebie właśnie jest bardzo ładnie; stoliczek czyściutki, kurze wszędzie pościerane, łóżeczko ładnie posłane, a nawet tutaj w kącie, gdzie, widzę, mieszkają twoje lalki, wszystko poustawiane aż miło. Skąd masz taki ładny dywanik? Kanapa i fotele wspaniałe! To pewno Antoni porobił; a panny powystrajane, siedzą sobie jak księżniczki na kanapie... To chyba Michaś powinien się wstydzić, bo doprawdy zabawnie wygląda ten bigos w jego mieszkaniu! Cha cha cha... masa kamyczków na stole, na oknie resztka chleba z masłem, kawałki pomiętego papieru na podłodze; przypatrz się, jaką nieszczęśliwą minę ma ten surducik z przewróconym na lewą stronę rękawem, co wisi na krzesełku. Jeden trzewik na łóżku..., a drugi, niema drugiego... pochwa od szabelki z pod poduszki wygląda, szafka z zabawkami roztwarta, a w szafce dopiero hurdu burdu!

— Nie śmiej się, moja Heleneczko... proszę

cię na wszystko! — całując ją mówiła Lili. — Chłopcy zawsze trochę są nieporządni, a zresztą Michaś taki jeszcze mały! W naszym pokoju Anusia, która tu sypia, ma obowiązek tylko pozamiatać z rana; a kurze ścierać i wszystko ładnie poukładać, to już do nas należy. Ja to zawsze o wiele prędzej i lepiej robię od Michasia, on też przyzwyczaił się, że prawie codzień za niego posprzątam. Jak tylko wstanie rano i ubierze się, czemprędzej wylatuje do ogrodu, spuszczając się na pannę porządnicką, jak mnie nazywa. Potem naturalnie całuje mnie i dusi za szyję z wielkiej wdzięczności.

Dziś śpieszyłam się do kościoła, więc swego tylko gospodarstwa dopilnowałam. Ach, Boże! gdyby to mama zobaczyła, dopieroby Michaś dostał pokutę... Zmiłuj się, Helenko, pomóż mi, bo jak się mamy obudzą i przyjdą tutaj... okropność!

Obie dziewczynki rzuciły się z pośpiechem do roboty; sumienie Helenki zapytywało ją po cichu, czy na miejscu Lili byłaby tak dobrą i poczciwą siostrzyczką? Czy usłużyłaby tak chętnie braciom swoim? Czy dla osłonięcia ich przed karą opuściłaby zabawki, a wzięła się do nudnego porządkowania?

Helenka również po cichutku odpowiadała swemu aniołkowi, że jest przecież bardzo jeszcze malutką, najmłodszą prawie, a Lili o trzy lata starsza od Michasia.

Aniołek na to przypomniał parę wypadków, gdzie pewna panienka, posprzeczawszy się z braćmi, co chwila biegała na skargę do mamy...

Bo to Staś taki nieznośny; szeptała Helenka aniołkowi.

A Helenka bardzo często lubi na złość robić... odpowiadał aniołek.

Skończyło się na tem, że nie mając już nic na swoje uniewinnienie, Helenka zaczęła zbierać strzępki z podłogi, kamyczki i okruszyny ze stołu, Lili składała sukienki, chowała zabawki, pościerała kurze; w dziesięć minut królestwo Michasia wyglądało zupełnie inaczej.

— Wyobraź sobie, moja droga — mówiła Lili, zamykając szafkę Michasia, — że mój szanowny brat potrafi codzień tak wszystko poprzewracać, jak to dziś widziałaś. Ja nawet nie wiem, jakim on to sposobem urządza... Czasami gniewam się na niego, grożę, że sprzątać nie będę, że mamie pójdę powiedzieć, ale on taką śmiesznie pokorną przybiera minę, tak mnie z uszanowaniem po rękach całuje, że zawsze na niczem się kończy. No, dzięki Bogu, już mama teraz śmiało wejść może, a my chodźmy do naszych lalek. Tej blondynki nie znasz jeszcze, dostałam ją od tatusia na moje urodziny; bardzo ją lubię, bo ma prawdziwe sukienki, które dają się zdejmować, nie tak jak u innych lalek, co wszystko

mają pozaszywane i pozapinane raz na zawsze i ani w dzień, ani w nocy, swobody biedaczki nie mają. Do łóżka muszą iść w jedwabnych sukienkach.

— To pewno jej kufer z rzeczami? — zapytała Helenka.

— A jakże; ma tu i bieliznę i sukienki do zmiany, i kapelusze i czepeczki, a nawet pończoszki! Jeżeli chcesz, rozbierz ją i wdziej inną jaką sukienkę, ma ich cztery. Tamte stare lalki nie są tak bogate, poszyłam każdej po dwie koszulki, spódniczki i po dwie sukienki, ale perkalowe, nie takie ładne, jak u tej elegantki. Ale to nic nie szkodzi, one są grzeczne i wcale jej nie zazdroszczą. Na noc rozbieram wszystkie, daję im nocne koszulki, żeby nie zmarzły, a jak sama przed spaniem pacierz mówię, to wszystkie trzy muszą klęczeć przy mnie.

— Doprawdy? Przecież lalki nie żyją, a tyś taka duża, jakże możesz tak się bawić?

— Ja wiem, że to śmiesznie i niemądrze, ale tak mi przyjemnie razem z mojemi córeczkami pacierz mówić; wiesz ty, ja sobie czasami wyobrażam, że one są zaklętemi księżniczkami, tak jak te lalki w historyi dziadka do orzechów. Pewno znasz tę powiastkę?

— Nie, nawet nie słyszałam o niej.

— Opowiem ci kiedy; przecudna historyjka. Dziadek do orzechów był zaczarowanym księciem,

a lalki Maryni Silberhausówny były jego siostrami. Cztery razy czytałam to i jeszczebym czytała. Otóż więc, czasami sobie myślę, że moje córeczki żyją i czują, tylko mówić nie mogą i dlatego lubię je bardzo, lituję się nad ich losem i staram się, żeby im jak najlepiej było u mnie. A choćby to nawet nie było prawdą, choćby tylko rzeczywiście były porcelanowemi figurkami, to przecież w pieśni porannej mówimy: „Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie żywioł śpiewa wszelki, bądź pochwalon Boże wielki“.

Wyobrażam więc sobie, że Pan Bóg nie gniewa się na mnie za to, że tym martwym stworzeniom klęczeć przy sobie każę. Zresztą, pytałam się mamy czy to grzech, a mama mi odpowiedziała, że Pan Jezus dzieci bardzo kocha i mile patrzy z nieba na ich niewinne zabawy; a wtedy tylko się gniewa, jeżeli są uparte lub nieposłuszne. Otóż, jak je porozbieram, wtedy dwie starsze lalki idą spać do swoich łóżeczek, a ta strojnisia, żeby się zbyt nie wynosiła, dostaje tylko sienniczek, poduszeczkę i kołderkę. Za kilka tygodni, jak się przekona, że jej aksamity i atłasy na równi stawiam ze skromnemi sukienkami moich poczciwych staruszek, to może i ona dostanie łóżeczko. Zdaje mi się nawet, że Antoni już je robi.

— Mówiłaś, Lilusiu, że jedna lalka chora?

— A to ta biedaczka, złamała przedwczoraj

nogę. Bardzo to był smutny wypadek... nawet z tego powodu gniewałam się na Michasia.

— Ty?

— A tak; o bo mi też okropnie żal było mojej biednej Rózi.

— Jakże się to stało?

— Ja sobie szyłam prześcieradło dla mojej najmłodszej córeczki, siedziałam przy lalkach na podłodze i niby to rozmawiałam z niemi, opowiadałam im historyjki, bardzo się dobrze bawiłam. Było to po południu, deszcz zaczął padać, trzeba więc było siedzieć w pokoju. Michaś, jak zwykle, szukał czegoś między swemi zabawkami i znaleźć nie mógł. Przykrzyło mu się, wyciągnął więc z kąta swego konia na biegunach i dalejże harce po całym pokoju. Bawił się, że jest bohaterem i rąbał szablą na wszystkie strony, zabijając Turków tysiącami. Nareszcie i to mu się znudziło; przychodzi do mnie z prośbą, żebym mu pożyczyła której lalki, to ją nauczy konno jeździć. Ja naturalnie bałam się, bo koń bardzo wysoki i nie chciałam dać. On mi powiedział, że jestem samolubnica, że mam złe serce, że dla jedynego brata nic zrobić nie chcę, a wreszcie, rozgniewał się. Żal mi się zrobiło, pozwoliłam mu więc wziąć Rózię, prosząc na wszystko, żeby się z nią ostrożnie obchodził. Posadził ją po damsku na koniu, przywiązał chusteczką do siodła

i zaczął z nią powoli jeździć po pokoju. Ja sama śmiałam się z tego, bo zabawnie wyglądała, kiwając się w tył i naprzód, jakby jaka prawdziwa amazonka. Wszystko by się było dobrze skończyło, gdyby nie ta nieszczęśliwa żywość Michasia. Nie podobała mu się taka powolna jazda, jak też rozhuśtał konia... chusteczka się rozwiązała... a moja Rózia bęc na podłogę! Ja się zerwałam z krzykiem, ale nie mogłam ani kroku zrobić, tak mi się nogi trzęsły.

— Nic się nie stało, nic się nie stało — pocieszał mnie Michaś — nie stłukła sobie swego głupiego nosa; wybałuszone oczy także ma na swojem miejscu!

Jeszcze się z niej wyśmiewał, szkaradnik!

— Pomyśl sobie... wyobraź sobie, gdyby takie biedactwo mogło słyszeć i rozumieć, jakby jej było okropnie! Uspokoiłam się troszkę i podbiegłam, żeby podnieść z ziemi moją kochaną córeczkę. Podnoszę ją... a tu: dziń, dziń, dziń, coś się sypie... prawa noga strzaskana na drobne kawałeczki! Zaczęłam głośno płakać i całować Rózię (to moja najstarsza córka), a wtem drzwi się otwierają, i mama wchodzi.

— Pewno Michaś dostał porządne klapsy? — przerwała Helenka.

— Ej, nie dostał...

— Jakto?... Przebaczyła mu ciocia, chociaż ci taką przykrość zrobił?

— Kiedy widzisz... jakby ci to powiedzieć... ja już mam taką naturę, że nie mogę wytrzymać, jak mama albo tata gniewa się na Michasia; zaraz płaczę. W mgnieniu oka przeleciało mi przez głowę, że dosyć już jednego nieszczęścia, po co z własnej woli sprowadzać drugie. Kiedy więc mama spytała, co mi się stało, odpowiedziałam, że bawiliśmy się razem z Michasiem i lalka, niechcący, stłukła sobie nogę. Przecież nie skłamałam, bo Michaś bez mego pozwolenia nie byłby lalki ruszał.

— Lili... ty jesteś bardzo dobra!

— Ale gdzież tam! Jak mama wyszła, powiedziałam Michasiowi, że mu tego nigdy nie przebaczę. A co gorsza, myślałam tak naprawdę! On się nadąsał i poszedł na ganek, i tak ze dwie godziny nie mówiliśmy do siebie. Ale przy kolacyi musiałam udawać, że się nie gniewam, żeby maminej uwagi nie zwrócić. Potem poszliśmy spać. Ja klękłam do pacierza, jak codzień, z mojemi lalkami; patrząc na Rózię, znowu mi się płakać zachciało, ale się wstrzymałam i położywszy do łóżeczka, pocałowałam ją tylko i otuliłam kołderką. Potem sama się położyłam, Anusia zgasiła świecę i chwileczkę było zupełnie cicho.

Nagle Michaś wyskoczył z łóżka, przybiegł do

mnie i zaczął całować po twarzy, po oczach, po rękach i prosić, żebym się nie gniewała, bo on usnąć z żalu nie może. Cóżem miała robić? Uściskałam go także i przeprosiliśmy się.

Na drugi dzień rano, powiedział mi, że chciał się utopić z desperacyi, ale sobie pomyślał, że jabym miała wyrzuty sumienia przez całe życie; przytem deszcz padał, okropne było błoto, do Wisły taki kawał przez cały ogród i to go także wstrzymało. Dzięki Bogu, wszystko się dobrze skończyło; a że Rózia nogi nie ma, to nikt nawet nie wie, bo jej umyślnie wczoraj uszyłam długą suknię, aż się wlecze po ziemi, o!

— A ta druga, jak się nazywa?

— Jadwisia; na pamiątkę swojej babci, a mojej mamy.

— Czego ona tak krzywo siedzi? Co ją posadzę prosto, to się znów zgarbi; a taka jakaś giętka, ręce ma takie cienkie w ramionach.

— Ej... ona już taka od urodzenia była słabowita, a teraz, to naprawdę suchot dostała.

— Co też ty mówisz?

— Doprawdy, bardzo jest delikatnego zdrowia; powiem ci w sekrecie, co jej brakuje: wiesz, jakim sposobem robi się ciało lalkom? Szyją formę ze skórki i wypychają trocinami. Otóż, ten niepoczciwy człowiek, co szył moją Jadwisię, robił takie ogromne ściegi, że między jednym a drugim

pozostały szparki, przez które się trociny wysypują. Z początku, póki była nowa i dobrze nabita, powoli się sypało, ale z czasem, coraz bardziej i bardziej. Teraz ją sama pozaszywałam jak najgęściej, ale na jej chudość nic już poradzić nie mogę. Biedna suchotnica!

— Wiesz co, posadźmy ją na oknie; ja słyszałam, że dla chorych osób to bardzo dobrze, jak na słońcu siedzą.

Mówiąc to, Helenka postawiła fotelik na oknie, Lili posadziła na nim Jadwisię, ale trzeba ją było kilkakrotnie poprawiać, bo jakoś nie mogła utrzymać się w równowadze. Z czułością prawdziwie macierzyńską, Lili pogłaskała ją po główce i okryła kolana niebieską kołderką, bo chora lalka, siedząc ciągle w pokoju, łatwo się mogła przy otwartem oknie przeziębić.

— Teraz ubierzmy porządnie Rózię i Wandzię i chodźmy z niemi do ogrodu. Ty, Helenko, jako gość, powinnaś mieć ładniejszą, weź więc Wandzię. A zresztą, ta biedna kaleka woli być ze mną.

Dziewczynki z lalkami na rękach wyszły do ogrodu, nie potrzebując już zbyt cicho się sprawiać: obie mamy, od dawna już obudzone, siedziały sobie w altance, popijając herbatę.

Równocześnie prawie nadbiegli chłopcy; posadzono lalki na ławce, a po podwieczorku, starsi

i młodsi stanęli kołem na trawniku, wujenka przyniosła kółka i laseczki i zaczęto się bawić w „cerceau“.

Wujenka, mama, Jerzy i Lili, wprawnie rzucali do siebie kółkami, ale Stasiowi, Michasiowi i Helence, wiodło się nader nieszczęśliwie. Raz kółko zostało w ręku, a kijek poleciał z rozpędem naprzód; to znów kółko zamiast w lewo lub w prawo lecieć, uciekało nie wiem po co w tył; to znów jak na złość wpadało w krzaki i trzeba go było szukać; a raz nawet Staś, chcąc rzucić do mamy, z takim zapałem wziął się do dzieła, że kijek poleciał w jednę, kółko w drugą stronę, a pan Stanisław runął jak długi na ziemię.

— Ij... głupia taka zabawa... nie potrzebuję rzucać — rzekł Staś, krzywiąc się.

— Jeszcześ za mały, moje dziecko — pocieszała go wujenka — jak nabędziesz wprawy, to się przekonasz, że to gra bardzo przyjemna. A tymczasem pomyśl sobie, czy to ładnie, zabawę, do której mama i ja należymy, głupią nazywać?

Staś zawstydzony, pocałował wujenkę w rękę i z pokorną minką usiadł na ławce przy lalkach Lilusi. Wkrótce i starsze dzieci, zmęczone bieganiem i podskokami, prosiły o zawieszenie broni, a mamy, które dla ich przyjemności tylko do gry należały, zgodziły się na to chętnie. Na odpoczynek

bawiono się w różne gry siedzące i ani się dzieci spostrzegły, jak słońce zaszło i letni przejrzysty zmrok zaczął zapadać.

— Chodźmy już do pokoju — rzekła wujenka — rosa pada, chłodno się robi, wy, małe mieszczuchy, gotowibyście jeszcze się pozaziębiać, a tatuś, naturalnie nie puściłby was do Topolówki na wakacye. Nawet, jak widzę, kolacya już na nas czeka.

Przez otwarte drzwi parapetowe widać było stół nakryty w jadalnym pokoju; wisząca lampa tylko co zapalona, wahała się jeszcze na prawo i na lewo, rzucając wesołe światło na ogromny garnek z kwaśnem mlekiem i kopiaty półmisek ziemniaków. Na drugim końcu stołu, równie wysoką piramidą piętrzyły się na półmisku kurczęta. Ciekawe oczka Helenki dojrzały jeszcze koszyk z wybornymi piernikami domowej roboty, o których kapitalnym smaku wiedziała z doświadczenia. Korzystając, że mama z wujenką stały jeszcze przed domem, udzieliła półgłosem swych spostrzeżeń Stasiowi.

— A kompot widziałaś?

— Gdzie?

— Przed maminym talerzem, na szklanej salaterce.

— A to same wyborne rzeczy! Ale trudnoż jeść wszystko...

— Ja już wolę wyrzec się kurcząt, bo i w domu często je jadamy, a mleka z ziemniakami nigdy u nas nie bywa.

— Bo tata nie lubi.

— A mama nawet mówiła, że takie potrawy tylko na wsi są dobre. Będę sobie jadł mleko, pierniki i kompot.

— Ja także. A ty, Jerzy?

— Po co go nawet pytasz? Przecie wiesz, że on zawsze tylko tatę naśladuje i czego tata nie lubi, tego on nawet do ust nie weźmie, choćby nigdy nie próbował.

— Przepraszam, bo tak nie jest. Byłem jeszcze malutki, nic o guście taty nie wiedziałem, a kwaśnego mleka znieść nie mogłem. Kawy zaś, którą tata przecież bardzo lubi, nigdy nie pijam i nawet ze wstrętem wąchać muszę, gdy ją codzień dla tatusia przyrządzają.

— A wieprzowiny i baraniny także nie jadam!

— A ćwikły, rydzów, korniszonów, także nie jadam!

— A kapusty, szpinaku, sałaty, także nie jadam!

— Będziecie wy cicho, bębny szkaradne! Korzystają, że starszych niema i pozwalają sobie.

Ale w nieobecności mamy, ja tu jestem najstarszy i zaraz porządek z wami zrobię.

— Tylko schowaj swoje chude łapy, bo bić niewolno — piszczała, uciekając Helenka.

— Jeżeli chcesz mamę zastępować, to sprawiaj się porządnie i dawaj nam dobry przykład.

— Jaki mi tam najstarszy! Czyś widział kiedy mamę, żeby latała za nami naokoło stołu zaperzona i rozczochrana?

— A... bo przed mamą nie uciekacie.

— A... bo mama nie tłucze pięściami po plecach, jak ty, Herodzie.

— Pst... cicho... mamy idą! — zawołała Lili, która z przerażeniem czekała końca zawziętej gonitwy.

Dzieci spokojnie usiadły przy stole, w jednej chwili przerywając kłótnię, jakby różczką czarodziejską tknięte.

Po kolacyi, bawiono się jeszcze w pokoju z godzinę, poczem wszyscy poszli spać, z nadzieją wesołego jutra i tysiącznymi na owo jutro projektami.

ROZDZIAŁ VIII.

Wuj Karol przyjechał w poniedziałek rano i serdecznie się gośćmi ucieszył. Znalazły się nawet gościńce, tak dla wujenki i mamy, jak dla wszystkich dzieci; wujaszek miał w tych dniach być i w Krakowie, z wycieczki zatem do Lwowa, całej rodzinie poprzywoził różne ładne rzeczy.

Dzieci zaraz po śniadaniu wybiegły do ogrodu.

Między stajniami a stodołą, znajdowała się ogromna, stara szopa. Służyła ona dawnemu właścicielowi Topolówki za suszarnię chmielu; ponieważ jednak wuj Karol chmielu nie uprawiał, szopa od lat kilkunastu stała pustką, coraz bardziej chyląc się ku ziemi. Co roku miano ją zburzyć, ale zawsze znalazło się coś ważniejszego do roboty w gospodarstwie; czas upływał, deski próchniały, dach zielonym mchem porastał; stała sobie starowina między nowemi stodołami, jak żebrak, co do dworu przyszedł po jałmużnę.

W tym to opustoszałym budynku, z dawien dawna, dzieci lubiły się bawić. Raz, był to cyrk, gdzie się popisywano najrozmaitszemi sztukami; młodsze dzieci były końmi, a starsze tresowały je, uczyły galopować, klękać, dęba stawać, przez drążki przeskakiwać. To znowu grywano teatr, odprawiano

uczty i nabożeństwa pogańskie, słowem, wybornie się bawiono. Otóż i dziś Jerzy zwołał całą gromadkę do siebie i rzekł:

— Wiecie co? Idźmy do suszarni, po drodze zbierajmy kamienie i drewka, wybudujemy ogromny zamek na wzór Tenczyńskiego. Dobrze?

— Ach, pysznie! doskonale!

— Dalej, do roboty!

Dzieci rozbiegły się na wszystkie strony, zbierając gorliwie kamienie, kawałki cegieł, patyki, trzaski i znosząc to wszystko do suszarni. Gdy już dostateczną ilość materyału na środku szopy złożono, rozpoczęła się budowa: kamyczek do kamyczka, cegiełka do cegiełki, w braku wapna rozrobiono wodę z ziemią na błoto, w szczerbatym garnku, który Michaś znalazł na śmiecisku. Budowa szła raźno i wcale nieźle; mury, lepione błotem, obiecywały trzymać się jako tako; od północy i od wschodu coś nakształt baszt obronnych sterczało trochę wyżej, z pręcików porobiono belki, nad niemi zaciągnięto dach spiczasty. Pięcioro małych robotników uklecił w przeciągu dwóch godzin coś, niby budę dla psa, niby piec do wypalania cegły, a co w szlachetnem zaślepieniu, mianem starożytnego zamku ochrzczono.

— Powiem wam coś — rzekł Staś, cofając się kilka kroków, by lepiej objąć okiem wspólne

arcydzieło — ten zamek jest bardzo ładny, ale do jutra nie wytrzyma: jak tylko glina wyschnie, to się pewno cała buda przewróci.

— E... nieznośny jesteś — oburzyła się Lili. — Takeśmy się cieszyli, tak nam się zgrabnie udało, a ty zaraz przepowiadasz koniec świata, jak ten Jonasz... zobaczysz, wieloryb cię zje — dodała, śmiejąc się — bo dobre jej serduszko nie pozwoliło nigdy gniewać się długo.

— Co tam, niech sobie gada — przerwał Michaś — jak zobaczymy, że się zaczyna walić, to zrobimy napad Tatarów, zrównamy cały zamek z ziemią i będziemy mieli nową zabawę.

— A prawda. Niech żyje Michaś! Teraz idźmy się trochę umyć i otrzepać, bo z takiemi zabłoconemi łapami trudno się pokazać przy obiedzie.

— A ty, Jerzy, to nawet wąsy i brodę masz z gliny.

— Doprawdy? Aha, mucha łaziła mi pod nosem, podrapałem się i takem się powalał. Ale to nic, chodźmy się umyć.

I na wyścigi, kto prędzej, skoczyły dzieci do pralni, gdzie z pomocą Marcinowej, sukienki, buzie i rączki do należytego wróciły porządku. Starsze dzieci pobiegły w ogród, bo Józef dopiero za godzinę obiad obiecywał, a Michaś z Helenką szli powoli razem, trzymając się za ręce.

Przed kuchnią, w cieniu krzaka jaśminu, stał spory koszyk, przykryty białem płótnem.

— Nie wiesz Michasiu, co tam jest? — spytała Helenka.

— Co jest, nie wiem; ale wiem czyj koszyk, bo widziałem Stefanową kowalkę jak weszła do kuchni, a koszyk ostrożnie postawiła w cieniu i przykryła ręcznikiem. Możemy zajrzeć.

— Ej... ja się boję... może tam są raki!

— Ale gdzieżtam; raki by się już dawno rozlazły. Prędzej kurczątka powiązane, albo jaka jarzyna.

— Podnieś szmatkę.

— Boję się... podnieś ty.

— Helenko!!! Dziecko maleńkie!

— Co?.. Dziecko?.. A śpi?..

— Aha.

— Ach, Boże! Jaka szkoda, że to nie nasze, takbyśmy się dobrze bawili...

— Wielka rzecz... może być nasze. Ja byłem kiedyś u kowala z Marcinem, i słyszałem jak Stefanowa narzekała: „Oj, Boże, Boże, z temi dzieciskami“ (ma ich coś ośmioro czy dziewięcioro). Może nawet kontenta będzie, jak jej się gdzie jedno zapodzieje. Weźmy ostrożnie koszyk, zanieśmy gdzie w spokojne miejsce i będziemy sobie wychowywać.

— Ach, dobrze! Ty będziesz tatą, ja będę

mamą, Jezu!... prawdziwe, żywe dziecko! Mleczka w filiżance zagrzeję, łyżeczką dzidziusia będę karmić. Jak się koszulka zbrucze, to prędziutko na miednicy wypiorę i na słońcu wysuszę; dzieciątko nam urośnie i będziemy mieli z kim się bawić. Ale gdzie je schowamy? Bo jakby kto zobaczył, toby nam może odebrano!

— A możeby i odebrano;... potem, to co innego; jak się ludzie przekonają, że umiemy się z dzieckiem obchodzić, to nam dadzą spokój, ale z początku, możeby kłopot był z tego. Wiesz co? Idźmy powolutku do kuchennej sieni, tam są schody, zaniesiemy nasze dziecko na strych, będziemy mieli dobre schowanie. Ale ani piśnij nikomu o tem!

— Spodziewam się.

— Ani Lilusi, boby zaraz mamy pytała o pozwolenie.

Z biciem serca, dźwigając ciężki koszyk, przeszły dzieci szczęśliwie przez sień, nie spotkawszy nikogo. Trudniej było ze schodami: na siły jednego ciężar był za wielki, we dwoje zaś, zmieścić się na wązkich schodach nie mogli. Jakoś nareszcie zrozumieli przeczuciem prawa równowagi; Michaś szedł naprzód, trzymając kosz za obłąk, Helenka podpierała go z dołu.

Już tylko trzy schodki... drzwi otwarte...

— A co wy tam robicie, dzieci? — dał się słyszeć głos mamy.

— Nic, mamo; — odpowiedziała Helenka, zasłaniając podejrzany pakunek sukienką.

— Jakto nic? Pocóż się drapiecie na górę?

— Tak sobie, ciociu, dla zabawki, — odparł Michaś.

— A co to za koszyk?

— Ach... o koszyk ciocia pyta? To nic.

— Ale przecież?

— Nic ważnego, mamusiu. To tylko dziecko.

— Jakto? Dziecko? Żywe?

— A jakże, żywiutkie, takie tłuste.

— Skądżeście je wzięli?

— Znaleźliśmy sobie i wzięliśmy na wychowanie.

Nie pytając dalej, mama wybiegła na schody i odebrała koszyk z rąk biednych malców, nie poczuwających się wcale do winy.

— Gdzieście to znaleźli?

— Pod krzakiem, przy kuchni.

— Ale niech się ciocia nie męczy, my to odniesiemy na swoje miejsce, choć doprawdy... no trudno. To Stefanowej kowalki, ona ma taką masę dzieci, myśleliśmy, że jej lżej będzie, jak weźmiemy to jedno.

Trudno było moralizować dwoje dudków, co nawet dziesięciu lat razem nie miało. Michaś i Helenka dostali tylko krótką a węzłowatą burę, że

cudzych rzeczy ruszać nie wolno, choćby to tylko była rzecz tak bardzo mała, jak dziecko paromiesięczne.

— Ot, szkoda, że twoja mama nas zobaczyła, — rzekł Michaś z westchnieniem.

— Takby nam pysznie było; — dodała Helenka — doprawdy, mama to czasem taka sroga... cobyto mamie szkodziło, gdybyśmy mieli dziecko? Jedno, malusieńkie... mama nas ma aż czworo, a nikt jej nie odbiera.

— Ach, Boże, Boże!

I wziąwszy się znów za rączki, osieroceni rodzice powędrowali do ogrodu, gdzie nie robiąc już tajemnicy, opowiedzieli starszemu rodzeństwu swoje zmartwienie.

Wkrótce zadzwoniono na obiad, dzieci pobiegły czemprędzej, żeby się nie spóźnić i na łajanie nie zasłużyć. Przy stole mama dużo coś mówiła po francusku, wuj Karol i wujenka aż płakali ze śmiechu, a Lili oczki spuszczała na talerz, żeby nie pokazać, że rozumie. Michasiowi jednak i Helence ani do głowy nie przyszło, żeby to ich przygoda tak miała bawić rodziców.

Po południu nadciągnęły czarne chmury, zaczęło grzmieć i błyskać, wybuchła burza, z gradem i piorunami. Parę minut zaledwie trwała, a mimo to, ścieżki w ogrodzie były bieluteńkie, jakby w zi-

mie. Dzieci wybiegły z talerzykami przed dom, nazbierały gradowych kulek, częstowano się angielskiemi cukierkami, robiono lody, bo wujenka dała cukru i soku wiśniowego, słowem uczta była nie lada.

Resztę dnia trzeba już było pozostać w pokoju, po burzy bowiem nie wyschło tak prędko. Lili, delikatna bardzo, mogła się łatwo zakatarzyć, Staś także jakiś był nieswój troszkę, wszyscy więc bawili się w jadalnym pokoju, gdzie najwięcej miejsca mieli do biegania.

Urządzono gonitwę naokoło stołu, ale Staś, swoim zwyczajem, kilka kroków zaledwie ubiegłszy, uderzył głową o kredens i guza nabił na czole. Michaś litością wiedziony, porwał szklankę z wodą i nim ją doniósł, brzdęknął jak długi o ziemię... wodę wylał i szklankę stłukł na drobne kawałki; szczęście jeszcze, że się nie pokaleczył. Obie mamy wbiegły na ten hałas do pokoju, ale widząc, że się nic złego nie stało, chciały odejść, zalecając tylko dzieciom spokojniejszą jaką zabawę. Jerzy zastąpił drzwi, rozkładając szeroko ręce i prosił gorąco:

— Niech się mamy z nami pobawią troszkę!

— Ach, tak, tak! — wtórowali wszyscy.

— Maryniu, chcesz się poświęcić? — spytała wujenka.

— I owszem; w cóż się chcecie bawić?

— Może w dwuznaczniki?

— Któż pierwszy wyjdzie?

— Staś; — rzekła mama — niech dowiedzie, że choć niezgrabny i na gładkiej drodze się przewraca, do czegoś przecie potrafi być zręczny.

— Dobrze, mamo, ale nie bardzo trudne słówko.

Po chwili przywołano Staszka, który sprytnie prosto kroczył do Michasia, słusznie rachując, że najmłodszy, najprędzej odpowiedzią swoją odgadnąć mu dopomoże.

— Czy to człowiek, czy zwierzę?

— W jednem znaczeniu zwierzę.

— Jak wygląda?

— Małe, czarne...

— Do czego służy?

— O proszę, pytaj dalej; nie można jednego tak ciągle męczyć.

— Helenko, czy ty to lubisz?

— Huuu — nie!

— A w drugiem znaczeniu?

— Co chwila to piekę.

— Aha! Rak, rak! zgadłem, na Helenkę kolej...

— Ale ja nie wyjdę, ja nie umiem zgadywać.

— No, to Jerzy. A jak krzykniemy — już, to przychodź.

— Już... już.

— Lili, czyś ty to widziała?

— W jednem znaczeniu, widziałam tego mnó-

stwo, a w drugiem nig... a nie, owszem, i w drugiem znaczeniu już to widziałam.

— Stasiu, czy to można jeść?

— O nie, bo bardzo twarde.

— Helenko, czy w Topolówce to jest?

— A jakże, w każdym pokoju.

— Mamusiu, niech mnie mama ratuje, bo nie zgadnę. Na co się to przyda?

— Broni od złodziei.

— A w drugiem znaczeniu, wujeneczko?

— Także służy do obrony, ale całego kraju.

— Zamek! Zamek! Zgadłem przecie! wujenka emigruje! Dla wujenki trzeba coś okropnie trudnego... Ach; coby to? coby to?

Mama szepnęła coś dzieciom do ucha, tłomacząc młodszym znaczenie wyrazu, ale zwolniono je od odpowiedzi, dla nich było to za trudnem.

— No, mój Jerzy, — rzekła, wchodząc wujenka, — dzięki tobie, muszę się utrapiać. Powiedz mi za to, czy ja znam ten wyraz w obu znaczeniach?

— Każdy kto na wsi mieszka, często się z tem spotyka w jednem znaczeniu; drugie, zdaje mi się zna wujenka tylko z uczynków.

— A więc to sprzęt i człowiek, Lili?

— Tak, mamo; narzędzie bardzo pożyteczne i człowiek zasłużony.

— Maryniu, czem ten człowiek pracuje?

— Piórem.

— A tego narzędzia, czy w kobiecem gospodarstwie się używa.

— Nie, do uprawy roli.

Michaś nie mogąc wytrzymać, zaczął skakać na jednej nodze, śpiewając:

— Od P się zaczyna, a na g. się kończy. O, Boże, mama chyba umyślnie nie zgaduje?

— Pług?

— Tak... tak... tak!

Długo jeszcze bawiono się w dwuznaczniki, potem w przysłowia, w sekretarza, aż nadszedł wieczór, kolacya i niestety: „Dobranoc".

ROZDZIAŁ IX.

— Wstawajcie, leniuchy! Ja już od godziny biegam po świecie; już w ogrodzie byłem, herbatę wypiłem, a wy śpicie i śpicie.

Tak wołał Jerzy, wpadając do gościnnego pokoju, gdzie urządzona była sypialnia dla chłopców, obok mamusinej; dziewczynki sypiały w dziecinnym, bo Michaś ustąpił chętnie swego łóżeczka Helence, by ani na chwilę nie rozstawać się z Jerzym i Stasiem.

— Aaaaam! Pysznie się spało... ziewnął Staś.

— Ja za pięć minut byłbym gotów, gdyby nie to mycie nieznośne — mruknął Michaś. — Anusia stoi nad człowiekiem, jak policyant: „a jeszcze to ucho, a tamto, a koło włosów, a na karku, a zęby“, aż się życie przykrzy!

— No, no, nie gadaj tak dużo, to się prędzej zbierzesz; ja tymczasem biegnę zajrzeć, co panny robią; pewno już dawno powstawały, bo Lili zawsze najwcześniej się budzi.

— Oho! — zawołał po chwili, — dziewczęta już kawę piją, chodźcież prędko! tyle mamy roboty!

Po śniadaniu postanowiono sprawdzić, w jakim stanie znajduje się zbudowane wczoraj zamczysko. Helenka ciekawska dobiegła do suszarni najpierwsza.

— O, Boże! Jedna baszta się przewróciła; cały zamek wykrzywił się haniebnie.

— Ale stoi?

— Ledwo.

— Powiem wam coś na pociechę — rzekł Jerzy. — Widziałem właśnie wczoraj w cioci pokoju, między widokami z Włoch, fotografię wieży w Pizie, która stoi pochyło, jakby co chwila runąć miała. Zdziwiło mię to nadzwyczajnie, że się ludzie nie boją, chodzą sobie spokojnie koło niej, ani jej nie burzą, ani nawet niczem nie podeprą. Ale mama wytłomaczyła mi, że budowniczy umyślnie taką wieżę

wystawił, na dowód swej umiejętności; potrafił środek ciężkości w ten sposób umieścić, że wieża stojąc pochyło, właśnie stoi najmocniej. Ale na to trzeba się bardzo pilnie matematyki uczyć; dziś jeszcze nie rozumiemy, jakim to sposobem zrobić można.

— A jednak... nasz zamek także krzywo stoi. Widać niechcący dobrześmy środek ciężkości umieścili. Wiwat!

— Wszystko to bardzo pięknie, ale Piza Pizą, a ja nie mam nadziei, żeby te mury długo wytrzymały; — uparcie powtórzył swoje wczorajsze zapatrywanie Staś.

— To już darmo. Największe arcydzieła niszczeją i rozpadają się w gruzy; musimy się z losem pogodzić.

— Aleś ty mówił wczoraj, Michasiu, że zrobimy napad Tatarów? — zagadnęła go Helenka.

— Ach, prawda! Zapomniałem na śmierć.

— Wybornie się zabawimy, — rzekł Jerzy. — Bogiem a prawdą Staś ma słuszność: z naszego zamku i tak nie będziemy mieć wielkiej chluby. Niech go przynajmniej dzika horda pohańców z ziemią zrówna; mniejszy wstyd dla budowniczych.

— Jakże to zrobimy?

— Ano... najpierw, trzeba się trochę przebrać za Tatarów. Ba, nie mamy ani kożuchów, ani cza-

pek śpiczastych, ani szabel zakrzywionych... wiecie co? Jeszcze lepsza myśl!.. Ta buda... przepraszam — budowla, to będzie folwark osadnika amerykańskiego, a my, dzicy Indyanie, napadniemy z nienacka, mieszkańców pozabijamy, a dom z wściekłością zburzymy.

— Ja nie chcę zabijać. Nie, nie, nie, nie bawmy się tak.

— Ależ, Lilusiu, jakaś ty dziecinna; przecie to żarty; zresztą my wszyscy będziemy Indyanami, więc między sobą nie będziemy się bili, a tylko krzyczeć, śpiewać i dokazywać.

— No—marsz do ogrodu, porobimy sobie z liści cudackie ubrania na głowy, łuki z gałązek, możemy się nawet pomalować na różne kolory, bo czerwone róże i fiołkowe powoje pysznie kolor puszczają.

Z pośpiechem i zapałem wzięto się do roboty; w kieszeniach znalazło się mnóstwo sznurków, które do łuków i czubatych koron bardzo się przydały. Panienki pomalowały sobie calutkie twarzyczki na czerwono, a chłopcy na fioletowo; najprawdziwsi Indyanie nie potrafiliby tak szkaradnie wyglądać, jak nasza armia.

— Hu... jakaś ty brzydka Lili! — z dreszczem grozy zawołała Helenka.

— A i ty wyglądasz jakby cię kto obdarł ze skóry, — rozśmiała się Lili.

— A chłopaki... no popatrz się; doprawdy jak dyabły.

— No, dzieci! dalej w drogę! Chcecie żebym był waszym wodzem?

— Dobrze, dobrze! Chcemy!

— Nazywam się „Niszczący płomień", bo nibyto mam taki zwyczaj, że wszystko rabuję i palę. Teraz biegnijmy co sił, a krzyczmy najokropniejszymi głosami.

Z przeraźliwym piskiem wpadli krwiożerczy Indyanie do szopy i w kilku sekundach roztrącili całą swoją wczorajszą mozolną pracę, że kamień na kamieniu nie pozostał.

— A teraz co?

— Teraz... naturalnie puścimy z dymem resztki osady, żeby i śladu tej nienawistnej siedziby białych nie było.

— A masz ogień?

— Ach, nie...

— Ja mam dwie zapałki w kieszeni; — z radością zawołał Michaś. — Wczoraj wieczorem tatuś układał z zapałek łamigłówki, a ja niechcący, dwie sobie zabrałem. Teraz się przydadzą.

— Dawaj! Trzasek i patyków mamy dosyć, będzie, panie dobrodzieju, ogieniek aż miło. Zgarnijcie wszystko na kupkę; ot tak, dobrze. Widzicie, jak się ślicznie zapaliło?

— Teraz weźmy się za ręce i tańczmy w około, na znak radości, żeśmy białych pobili.

— Pieśń naszego plemienia jest: Owahi, Owaha! z naciskiem na trzecią zgłoskę. Tylko proszę z całej siły! Nie żałować gardła, bo to dzień wielki, dzień zwycięstwa.

— Owahi, Owaha, Owa hi, owa ha!

Indyanie wyskakiwali jak piłki do góry, a płomień współzawodnicząc z nimi, wzbijał się coraz wyżej i wyżej...

— A smarkace psemierzłe! To takie wase zabawki? Zbytniki jedne niepamiętane!

We drzwiach suszarni ukazała się wysoka postać Antoniego stangreta, i druga nieco szczuplejsza, starego Marcina. Obaj wzrośli i posiwieli w służbie rodziny wuja Karola, traktowali pańskie dzieci poufale, czego im nawet ze względu na wierność i przywiązanie nikt nie zabraniał, ani nie ganił. Nic więc dziwnego, że na widok ogniska rozpalonego pod dachem zbutwiałej szopy, obawa pożaru takie im niegrzeczne słowa podyktowała.

— Owa hi, owa ha! — rozlegała się nieprzerwanie pieśń indyjska.

— A cichoj! A stańcie psecie!

— Czego nam Antoni przeszkadza? My się tak ślicznie bawimy!

— Slicne mi bawienie, a jesce śli-



Owah! — Owaha! Tylko proszę z całej siły!

cniejsy z niego pozar. O śtyry kroki stodoła... Widzioł panie kielo tam zboza jesce?

— No to co?

— E... cobyście z dzieciami dużo rezonowali; ja skoczę po konewki, co mam z wodą w ogrodzie.

Marcin wybiegł, a Antoni bez ceremonii wyprowadził całe plemię na świeże powietrze, sam zaś wrócił czemprędzej do szopy, pilnować niebezpiecznego ogniska. W kilka minut ogrodnik powrócił z dwiema konewkami wody; płomień zalano...

Antoni odgrażał się, że tatusiowi i mamie wszystko opowie, ledwie się dał ubłagać, gdy mu wszystkie dzieci najuroczyściej przysięgły, że nigdy już a nigdy nie powtórzą podobnej zabawy.

— W samą porę przysłał tu Pan Bóg Antoniego z Marcinem, — rzekł Jerzy, po chwili zastanowienia. — Doprawdy, jak mogliśmy być tak nieostrożni, zwłaszcza ja, najstarszy. Ach, coby to było, gdyby się szopa zapaliła!

— A stodoły i stajnie tak bliziutko... strach!

— To pewno anioł stróż Lilusi skierował ku nam ludzi z pomocą.

— Dlaczego mój?

— Boś ty zawsze bardzo grzeczna, posłuszna i poczciwa, to twój anioł nie pozwoli ci nawet niechcący — jak dziś naprzykład — nic złego zro-

bić. A my tak często bywamy nieznośni, że nasi aniołowie nie muszą nas kochać tak dalece.

— Co też ty wygadujesz? Każdy anioł stróż kocha powierzone sobie dziecko bardzo, bardzo; choćby najniegrzeczniejsze; ja myślę, że gorszem to nawet więcej się opiekuje, bo pragnie jego poprawy.

— Ha... może być. Dość na tem, że nikt inny, tylko anioły stróże ustrzegły wujaszka od wielkiej szkody.

— Gadu, gadu, a umyć się trzeba.

— Ale jak się do domu dostaniemy, żeby nas nie spostrzeżono z takiemi strasznemi twarzami?

— Musimy iść bocznemi ścieżkami, a potem myk do pralni; tam jest dużo wody i mydła, to się obmyjemy. Ach, żeby tylko mamy albo cioci nie spotkać!

Jakoś szczęśliwie udało się dzieciom dotrzeć do portu, czyli do pralni. Wrażenie sprawili nieopisane: Marcinowa stanęła jak wryta i zaczęła się żegnać; a Rózia, rzuciwszy konewkę, uciekła do kuchni, gdzie zwiastowała obecnym służącym, że paniczów i panienki coś urzekło okrutnie, bo się aż na twarzy mienią. Zaczęło się mycie na wielką skalę... ale niestety, ani mydło, ani ręczniki, ani twarde ręce Marcinowej, (która zmiarkowawszy, że to nowy figiel, pośpieszyła z pomocą) nie były

w stanie zetrzeć pięknych farb, jakiemi się biedne dzieci szczodrze usmarowały. Trochę to tam niby puściło, chłopcy nie wyglądali już jak fiołki, ale jak bez turecki, a Helenka i Lili, od czoła aż po szyję gorzały, jednym wielkim rumieńcem.

— Ach, Boże, Boże! Czy to na całe życie tak pozostanie? — westchnęła Helenka.

— Mama będzie się gniewać, — szepnęła ze łzami w oczach Lili.

— E... co mi tam, — butnie krzyknął Michaś — ja nawet wolę, że się tak stało. Pojadę sobie do Wiednia, do Paryża i będę się za pieniądze pokazywał; niech mnie myją, niech się przekonają żem naprawdę liliowy na twarzy. A jak zrobię ogromny majątek, to kupię tatusiowi ze trzy wsie, mamie perły jak śliwki, a tobie sukienkę brylantami wyszywaną.

— Oj, Michaś, Michaś! Jaki z ciebie dudek; — przerwał Staś — farba się zmyje, ale powoli, może dziś, a może jutro dopiero, a zamiast milionów, zarobisz razem z nami porządną burę... jeżeli nie co więcej!..

— Słyszycie, dzwonią na obiad.

— Aj, ja nie pójdę.

— Ale nie bójże się; przeprosimy, powstydzimy się trochę, trudna rada: chciałabyś źle robić, a nie pokutować. Dziewczęta idźcie naprzód!

Lili na pierwszy ogień; ona nigdy nic złego nie robi, to jej łatwiej mamy przebaczą, a nam przy niej.

— Lilusia! Co ci się stało? — zawołała wujenka, spostrzegając we drzwiach córeczkę. — Czy cię co ukąsiło, czy masz gorączkę? Przypatrz się, Maryniu, jakie to dziecko nienaturalnie czerwone.

— Ach, mamo...

— Ledwo idzie biedactwo. Niedobrze ci? Słaba jesteś? Boże mój!

— Nie, nie, mamusiu; niech się mama nie martwi, to nic.

— Jakto nic?

— Myśmy się tylko czerwonemi różami pomalowały i... zmyć się nie chce.

— Aaaaa i Helenka także?

— To Jerzy nas namówił...

W tej chwili ukazali się chłopcy; obie mamy parsknęły śmiechem i tak jakoś długo uspokoić się nie mogły, że na gniew czasu nie pozostało. Podano obiad, wujaszek żartował sobie z dzieci i droczył się z niemi, obiecując zaprosić dziś jeszcze całe sąsiedztwo na oglądanie takich straszydeł.

Po obiedzie mama z wujenką same się wzięły do ciężkiej pracy zrobienia z Indyan Europejczyków. Dobrze, że się znalazł w domu kwas cytrynowy, który bardzo w tej biedzie usłużył. Ale też szczypało w buzie — no!

Pod wieczór, gdy dzieci w najlepsze bawiły się w ogrodzie, zawołała je mama do pokoju.

— Trzeba już myśleć o odwrocie — rzekła.

— Ach, nie! Broń Boże! Co też mamusia mówi!

— Mama żartuje... bojaźliwym wzrokiem spoglądając na matkę, zapewniała Helenka.

— Nie żartuję, moje dzieci; trzy dni już się kończą, jak tu jesteśmy, wierzę, że wam zbiegły jak trzy godziny. Ale wracać musimy. Tatuś tęskni za nami, szkoła czeka, a co nasza Maryńcia porabia? Obiecałam tacie, że przed dziewiątą będziemy z powrotem, danego słowa złamać niewolno. Za chwilę będzie ósma, zbierajcie się, dzieci.

— W każdym razie o głodzie was nie puszczę — stanowczym głosem zawyrokowała wujenka. — Kolacya na stole.

Oj, nie tak smakowały ziemniaki z kwaśnem mlekiem jak pierwszego wieczora... ani się rozmowa nie kleiła; tak jakoś było dziwnie...

Marzenia tylu tygodni o ślicznej wycieczce do Topolówki, zmieniły się w rzeczywistość; rzeczywistość trwała dni kilka, aż. . pozostały z niej tylko wspomnienia.

Taki to jest bieg rzeczy ludzkich!

Wycałowawszy Michasia i Lilusię niezliczone razy, wyściskani i ucałowani wzajemnie, pożegnawszy

się z wujostwem, podróżni nasi usadowili się obok mamy w powozie. Tylko ta rosa szkaradna padała jakoś bardzo tego wieczoru i to w same oczy... Staś i Helenka zawzięcie mrugali oczkami, by nikt tej rosy nie widział, a Jerzy chrząkał i łykał coś co chwila, słowem, smutny to był bardzo moment dla biednej dziatwy.

— Ale wujenka prędziuteńko do Krakowa przyjedzie?

— Na przyszłą niedzielę, dobrze?

— Może, może, ale nie obiecuję na pewno.

— Ach, prosimy! prosimy!

— Do widzenia!

— Do widzenia!

ROZDZIAŁ X.

Jak to często dziś — niepodobne do jutra!

Po powrocie z Topolówki, znajomi nasi zmęczeni i śpiący, uściskali tylko tatusia, lakonicznie zdając mu sprawę z uciechy swojej, wyrazami: — Bawiliśmy się wybornie, jutro tacie wszystko opowiemy.

Tymczasem, nazajutrz rano, śliczne, wesołe słonko majowe na smutne rzeczy patrzeć musiało...

Jerzy wstał o zwykłej godzinie i z wielkim animuszem powędrował do szkoły; Helenkę obudziło kichanie; zakatarzona, ziewająca, zielona jak żabka, bez humoru do zabawy, siedziała smutnie w łóżeczku, gdzie tata cały dzień kazał jej pozostać, gwoli zmożenia szkaradnego kataru. Gorzej jeszcze było ze Stasiem: w nocy dostał silnej gorączki, zrywał się, mówił przez sen, mama po kilka razy wstawała do niego bardzo niespokojna, a gdy przyszedł ranek, chłopczyna gorący jak ogień, leżał bez ruchu w swojem łóżeczku, ani podobny do wczorajszego wesołego Staszka.

Biedna mama, choć sobie nic nie miała do wyrzucenia (bo któżby się obawiał przeziębienia w ciepły wieczór majowy), obwiniała się w duszy, że za lekkie płaszczyki wdziała dzieciom, sadzając je do powozu, że nie uważała na Stasia przy kolacyi i pozwoliła mu jeść kompot po kwaśnem mleku, słowem, ciężkie zmartwienie.

Ojciec, chociaż sam był lekarzem, nigdy nie miał odwagi leczyć we własnej rodzinie; najmniejszy objaw choroby wydawał mu się stanem groźnym i niebezpiecznym. Wobec chorych, do których go wzywano, odznaczał się jasnym poglądem i przytomnością umysłu w najcięższych przypadkach; co w połączeniu z gruntowną wiedzą i jakiemś ślepem nawet szczęściem, pozwalało mu przeprowadzać cu-

downe niemal kuracye. Gdy jednak chodziło o żonę, lub które z dzieci, tracił zupełnie głowę i najczarniejszym oddawał się przypuszczeniom.

Możecie sobie wyobrazić, kochani czytelnicy, jak bardzo biednemi byli ci rodzice, patrzący przez łzy na ukochanego synka, który w ciągu swego tak krótkiego jeszcze życia, kilka razy ciężko już chorował, a dziś, zamglonemi oczkami patrzał smutno w jeden punkt przed siebie, nie wiedząc, co się w koło niego dzieje.

— Stasiuniu, boli cię co? — pytała mama, całując zwieszoną rączkę dziecka.

— Boli. Helenka mówiła, że będę miał robaka na sensie...

— Nie bój się, dziecko drogie, żaden robak nie może się dostać do mózgu; nawet nie myśl o podobnych niedorzecznościach.

— Ale niech mama wierzy; musiał z tej róży, com ją powąchał, wyleźć robak... a nawet kto wie, może to był wąż, bo wyraźnie czuję, jak się tam kręci po głowie, jak skacze... i to mnie tak bardzo boli.

— Główka cię boli, boś się zaziębił i masz gorączkę, ale ani robaka, ani węża tam niema, nie bój się. A więcej boli cię co jeszcze?

— Nic.

— W gardle ci nic nie zawadza? — spytał tata.

— Czy tatuś nie wie, że mi mama w nocy włożyła do gardła taki ogromny kawał waty, że ledwo mogę przełykać...

— Ja ci watę włożyłam? Mój aniołku, może ci się tak śniło?

— Ale nie; widziałem taką wysoką osobę, jak stała długo przy mnie, trzymała mi rękę na czole, tak mi było przyjemnie... potem schyliła się i pocałowała mnie; zamknąłem oczy i nic już nie pamiętam, a jak się obudziłem, to czułem pełno waty w gardle. Kto to dzwoni?...

W parę minut później, doktór S., najlepszy przyjaciel i kolega ojca Stasia, siedział przy łóżeczku malca i trzymał go za rączkę. Mama założyła pacyentowi termometr, pokazało się, że gorączka była bardzo silna.

— Skarży się na co? — spytał doktór.

— Główka boli go bardzo i narzeka, że ma watę w gardle — odpowiedziała mama.

— A, zdaje się, że teraz znajdziemy rozwiązanie zagadki. Usiądź Staszku, twarzą do okna, zobaczymy, co się tam w garełku dzieje; otwórz dobrze usta i mów aaaaa; bardzo dobrze, możesz się już położyć. Naturalnie, jest wata, ale brzydka, szara, żółta, musimy ją wypędzić. Tylko niech się

pani zbytecznie nie trwoży, Staś ma dyfteryę... no, no, no, już zaraz płakać! — A to piękna robota! Cóż my teraz poczniemy? Staszek, powiedz mamie, żeby nie płakała, że za tydzień będziesz zdrów jak rybka.

— Mamusiu złota! — zawołał chłopczyk, wyciągając rączki.

— No, dzięki Bogu, teraz już się uśmiechamy. Tylko, bardzo proszę w buzię go nie całować; czy pani nie słyszy? Ja nie żartuję wcale, tegoby jeszcze brakowało, żeby się pani zaraziła!

— Ach, panie kochany, gdybym mogła zabrać w siebie całą jego chorobę, byłabym najszczęśliwszą!

— Zapewne, a może i umrzeć, a tych biedaków samych zostawić, nieprawdaż? Niechże mię pani słucha i to tylko robi, co przepiszę, a unika zbytecznego zbliżania się bez potrzeby. Dość już jednej biedy, po co szukać drugiej. Tylko spokojnie, tylko odważnie, a zaręczam pani, że we dwoje zwyciężymy wroga. Najpierwej, proszę zdrowe dzieci wyprawić natychmiast z domu. Stasia przenieść do frontowego pokoju, gdzie będzie zupełnie odosobniony i tak w dzień, jak w nocy, pod okiem pani. Potem zapiszemy wdychiwanie co dwie godziny, po pięć minut przynajmniej. Masz aparat w domu, Stefanie?

— Mam, tylko go muszę pierwej wypróbować, czy dobrze idzie.

— Idźże, zrób to zaraz; im prędzej się weźmiemy do wojny, tem lepiej. Jak dobrze pójdzie, to jutro, a najdalej pojutrze, śmiać się będziemy z dyfteryi.

— Tak mię pan tylko pociesza...

— Słowo honoru pani daję, że mam to przekonanie. Miałem w ostatnich czasach kilka podobnych wypadków: zaczynało się ogromną gorączką, jedna mała pacyentka majaczyła nawet kilka godzin, a na trzeci dzień wszystko już było dobrze. Dzięki Bogu, nie przyszła do nas jeszcze, a może i nie przyjdzie ta straszna zaraza w całej swojej sile. Żegnam panią; wieczorem przyjdę znowu, a ty, Stasiu, pamiętaj słuchać mamy i robić wdychiwanie porządnie. Choć to wcale niemiłe, ale konieczne do twego wyzdrowienia; chciałbyś pozbyć się waty?

— O, chciałbym!

— No, to i dobrze; mam nadzieję, że się szczerze weźmiesz do lekarstwa, które ci na pewno pomoże. Do widzenia!..

Po odejściu doktora, który z ojcem naszych dzieci naradzał się jeszcze chwilkę w drugim pokoju, tata kazał Helenkę, mimo kataru, ubrać i wsiadłszy z nią do fiakra, odwiózł do cioci Zosi,

prosząc o przytułek dla małej wygnanki, przez czas choroby Stasia.

Marynia, z niańką i wózkiem, pełnym koszulek, pieluch i poduszek, pomaszerowała do babci, a Jerzego, wracającego ze szkoły, nie wpuszczono nawet do pokoju; musiał zająć kwaterę w domu doktora S., którego żona, pomimo, że wcale nie krewna, ale najserdeczniejsza przyjaciółka mamy, tytułowana była przez dzieci ciocią Terenią, a częściej po prostu Renią.

I tak w całym domu pozostała tylko mama z chorym Stasiem. Uspokojona trochę i pocieszona słowami doktora, przestała płakać, a widząc, że chłopczyk drzemać zaczyna, pospuszczała story u okien i usiadłszy przy łóżeczku, nie pamiętna przestróg lekarza, oparła głowę na poduszce tuż obok główki Stasia i powoli, powoli, zmęczona nieprzespaną nocą, płaczem i zmartwieniem, usnęła razem z synkiem.

Minęła godzina, Staś przebudził się z płaczem, że mu wata coraz bardziej rośnie w gardle. W tej samej chwili, jakby na zawołanie, wszedł do pokoju tata, z aparatem do wdychiwania, już zupełnie przyrządzonym. Nauczył mamę jak się ustawia, jak zaśrubowuje kociołek z wodą, wlał do słoika roztwór kwasu borowego, wstawił weń rozpylacz, będący w związku z kociołkiem, umocował kominek,

przez który para przechodzić miała, by nie rozpraszając się, mogła płukać Stasiowi gardełko; podpalono lampkę spirytusową pod kociołkiem, i już po kilku minutach, szmer i mruczenie w kociołku dało znać, że woda gotować się zaczyna.

Tata przysunął stół z aparatem bliżej łóżka, Staś usiadł naprzeciwko, przyglądając się maszyneryi. Chłopczyna, mimo gorączki, ciekawy był bardzo, jak to będzie z tem wdychiwaniem i chętnie poddał się pierwszej próbie.

Po małej chwilce, mruczenie gotującej się wody ustąpiło miejsca syczeniu, które wzrastając coraz bardziej, zmieniło się znowu w kilkakrotny, przerywany, niby słaby gwizd lokomotywy... i nagle para wodna grubym prądem wydobywać się zaczęła z kociołka, porywając z pomocą rozpylacza, cząstki kwasu borowego, zawartego w słoiczku.

Staś otworzył usta, zbliżając się jak najbardziej do aparatu i zaczął wciągać oddechem ciepłą parę. Jednocześnie prawie musiał zamknąć oczy; para bowiem, niebardzo zważając na przepisaną drogę przez kominek, rozpryskiwała się na wszystkie strony i spływała po liczkach, nosku i brodzie w nader nieprzyjemny sposób. Mama musiała aż zasłonić biednego synka ręcznikiem, by ochronić pościel i bieliznę od zbytecznego zwilżenia. Pierwsza próba nie trwała ani pięciu minut; zniecierpliwiony

dzieciak zamknął usta i odwrócił twarz, narzekając, że dłużej wytrzymać już nie może.

— Połóż się teraz, Stasieczku, i odpocznij sobie — uspokajał go tata — lekarstwo rzadko kiedy bywa przyjemne, ale gdy chodzi o zdrowie, to wszystko trzeba robić, co doktór każe. Za dwie godziny zrobisz drugie wdychiwanie i tak ciągle, póki nie będzie zupełnie dobrze.

Chłopczyna, w milczeniu, chociaż ze skrzywioną buzią, wysłuchał słów ojca, wiedział bowiem oddawna, że z mamą prośbami i płaczem niejedno się da zrobić, ale rozkazów taty trzeba słuchać co do joty; tembardziej nie dałby się tata ubłagać, w sprawie tak ważnej jak zdrowie.

Wieczorem przyszedł doktór S., a zajrzawszy do gardła Stasia, zauważył, że oba migdałki zupełnie były szarożółtą pleśnią pokryte, i w około mocno zaczerwienione; nie dzielił się jednak spostrzeżeniami swemi z mamą pacyenta, nie chcąc jej pod noc przerażać. Tembardziej, że choroba tak ciężka i niebezpieczna jak dyfterya, gdy nawet łaskawy ma przebieg, zawsze parę dni przynajmniej trwać musi.

Nie wiedząc, jaka ich noc czeka, zmęczeni całodzienną zgryzotą, rodzice Stasia wcześniej niż zwykle spać się położyli. Tata usnął niebawem; biedna zaś mama, z kobiecymi swymi nerwami

rady dać sobie nie mogła. W udręczeniu mijały jej godziny, aż wreszcie około trzeciej, sama nie wiedząc kiedy, usnęła twardo ze znużenia. Obudziwszy się rano, czemprędzej wyskoczyła z łóżka, chcąc zobaczyć, co się z jej biedactwem dzieje.

Staś spał spokojnie, główkę miał chłodną, czoło i rączki wilgotne.

— Ach, Boże mój! Dziękuję Ci! Zlitowałeś się nad mojem sercem udręczonem! — wyszeptała, klękając pocieszona przy łóżeczku Stasia.

Nie był to jednak koniec choroby: gorączka tylko prawie zupełnie spadła, ból głowy ustał, ale wata nieznośna uparcie siedziała w gardle, zawadzając boleśnie, nawet przy połykaniu wody lub herbaty. Mama pilnie przestrzegała wykonywania przepisów doktora co do częstego wdychiwania, a Staś, krzywiąc się i piszcząc, że lekarstwo gorsze od choroby, poddawał się jej rozkazom, gdyż wiedział, że w tym wypadku wszelkie prośby byłyby daremne. Mama, uzbroiła się w nieubłaganą stanowczość... tu przecież o życie chodziło!

Nie będę wam szczegółowo opisywać dalszego przebiegu choroby: niebezpieczeństwo minęło po trzech dniach, jak to właśnie doktór S. przewidywał; nieprzyjaciel, pędzony wszelkiemi siłami, musiał ustąpić. Odchodząc jednak, zemścił się dotkliwie: pleśń dyfteryi znikła z gardła Stasia, ale pozostały

po niej dwie głębokie ranki, które sprawiały dziecku ból wielki. Pomimo, że z powrotem do zdrowia, żołądek upominał się o swoje prawa, trudno było z początku namówić Stasia do wypicia choćby kilku łyżeczek rosołu. Płakał, że głodny, płakał bardziej jeszcze, że przełykać nie może. Powoli, powoli, skończyła się i ta bieda; po dziesięciu dniach mały pacyent blady i wymizerowany, ale w dobrym humorze, zataczając się trochę, przechadzał się po wszystkich pokojach. Rzeczy jego, pościel i całe mieszkanie poddano skrupulatnej dezinfekcyi.

Gdy już całe mieszkanie doskonale było oczyszczone, ściany otarte, posadzki świeżo zawoskowane, mama wyprawiła posłów po biednych wygnańców: Jerzego, Helenkę i Marynię. Starsze dzieci, po trzech tygodniach oddalenia od rodziców, z radością wracały do domu; Marynia zaś nie bardzo pojmująca, co się w koło niej dzieje, zajechała swym wózkiem na podwórze, z minką zupełnie obojętną.

Staś wykąpany, z ostrzyżoną głową, oczekiwał niecierpliwie powrotu rodzeństwa. Nareszcie, wesołe głosy i tupanie po schodach zwiastowały zbliżanie się upragnionych gości. Powitanie jednak odbyło się w nader ceremonialny sposób; mama bowiem z nadmiaru przezorności, zabroniła dzieciom zbliżać się

do Stasia i całować go. Pytania za to gradem się posypały.

— Jak się masz, nieszczęśliwy Łazarzu! — z progu jeszcze zawołał Jerzy. — Pfuj! co tu tak śmier... czuć szkaradnie?

— Ach, to pewno te lekarstwa, co biedny Staś musiał zażywać — odgadła Helenka.

— Brrrumm — to dopiero smaczek musiał być przewyborny, kiedy teraz jeszcze tak ślicznie pachnie...

— Ależ nie! Co wy wygadujecie — przerwał Staś ze śmiechem. — To tylko takie różne soki obrzydle pachnące, których tatuś ponalewał wszędzie, żeby zarazę wypędzić i żebyście wy mogli wrócić bezpiecznie do domu. Teraz, to już prawie wywietrzało, ale z początku zdawało się, że człowiek nie wytrzyma. Oboje z mamą kichaliśmy raz za razem, aż nam łzy leciały z oczu. Ale widać, na szkaradną chorobę, szkaradnego trzeba lekarstwa; teraz już będziemy się spokojnie razem bawić, ja jestem zdrów zupełnie, i wy się nie zarazicie, dzięki tym brzydkim zapachom. Cóżeście robili w obcych krajach?

— Ja się bardzo dobrze bawiłam u cioci Zosi; prawie po całych dniach siedzieliśmy z Józią i Henrysiem w ogrodzie, obiadki bywały pyszne, leguminy ja zawsze dysponowałam... to też ze trzy

razy przez ten czas było mleczko czekoladowe, a ryż z pianką dwa razy.

— Ja tam nie miałem żadnych ciekawych przygód u cioci Reni: codzień tak samo szedłem do szkoły, jak i z domu, a dzieci takie jeszcze małe, że ani się z kim pobawić, ani się z kim pokłócić. A ty? Opowiedzże nam co o sobie.

— Ej, niemiłe takie wspomnienia: z początku wiem tylko, że mnie bardzo głowa bolała i spać mi się ciągle chciało; a potem ta nudna robota z gardłem, to nieznośne wdychiwanie i jakieś proszki; potem dziury się porobiły w środku szyi, że nic jeść nie mogłem... a potem, coraz, coraz lepiej, aż wstałem i zacząłem się uczyć chodzić, takie nogi miałem do niczego. Ale za to dostałem od taty śliczną książkę na pociechę. Cóż, kiedy w pół dnia przeczytałem, aż się mama nawet gniewała.

— A ładna?

— Śliczna! Żałuj, Helenko, że czytać nie umiesz, jestem tak wspaniałomyślnie usposobiony, żebym ci ją zaraz pożyczył.

— A mnie, to nie? — oburzył się Jerzy.

— Ach i tobie, naturalnie; to takie zajmujące... sam tytuł przeraża! „Dolina bez wyjścia“, pomyślcie sobie: bez-wyj-ścia! Aż człowiek zębami dzwoni, stawiając się na miejscu tych nieszczęśliwych podróżnych, co się tam dostali.

— Aha... toś mądry! Kiedy bez wyjścia, to i bez wejścia! Chachacha... oj, Stasiu, Stasiu!

— Śmiej się, wolnoć Tomku w swoim domku; jak zaczniesz czytać, to się przekonasz, czy ja taki bardzo niemądry jestem. A za karę, nie dam ci książki, aż jutro.

— Ty mnie będziesz karał, smarkaczu jeden!

— Ty będziesz sobie kpił ze mnie, łacinniku!

— Aaa, co tego, tom się doprawdy nie spodziewała — rzekła mama, mięszając się do sprzeczki chłopców — niema pół godziny, jak jesteście razem po tak długiem niewidzeniu i już wojna. Fe!

— Niech się mamusia nami nie turbuje, my się zaraz pogodzimy. Kto się czubi, ten się lubi.

— W takim razie, wy bardzo się musicie kochać, bo sto razy na dzień awantury z sobą wyprawiacie.

— A mama to nie opowiadała nieraz, jakie zacięte i krwawe bitwy staczała onego czasu z ciocią Andzią? Aha?

Na takie dictum, trudno było odpowiedzieć, to też mama ze śmiechem ustąpiła z pola walki i wyszła z domu do swych przyjaciółek Reni i Zosi, by im podziękować za gościnny przytułek, dany jej malcom.

ROZDZIAŁ XI.

— Moja Helenko — mówiła nazajutrz mama, głaszcząc córeczkę po jasnych włoskach — taka już jesteś duża, pięć lat skończyłaś przedwczoraj, urosłaś jak szparag, mógłby kto myśleć, żeś już panna siedmioletnia. Ale w główce pustki... nic jeszcze nie umiesz; wstyd!

— Umiem już, mamusiu, wszystkie literki.

— To prawda, ale te literki rozsypały się w twojej pamięci bez porządku; poznajesz je w książce, ale nic do ciebie nie mówią. Czy chciałabyś się dowiedzieć, jak ładnie literki mówić umieją.

— Mama sobie żartuje; przecież książki nie żyją; nieraz oglądałam obrazki, tobym usłyszała, choćby głos jakiś...

— Nie żartuję, moje dziecko; głosu wprawdzie słyszeć nie możesz, ale jeżeli zechcesz, nauczę cię rozumieć mowę literek, nauczę cię czytać.

— Ach, mamusiu, to tak okropnie trudno!

— Nie próbowałaś nigdy, to nie możesz wiedzieć; a znasz przecie przysłowie: „dla chcącego — nic trudnego“. Chciej tylko szczerze. Wiesz co? A gdybyśmy tak zaraz zaczęły? Mam właśnie godzinkę wolnego czasu, przynieś swoje krzesełko

i połóż na stole tę dużą, ładną książkę. Tak; teraz otwórz i zobacz, ile tam obrazków kolorowanych. Jak to będzie przyjemnie, gdy Helenka sama sobie potrafi przeczytać nazwiska tych wszystkich zwierząt.

— Mnie się zdaje, że ja się tego nigdy nie nauczę.

— A Jerzy? A Staś? Czy myślisz, że od razu umieli? A teraz tak lubią czytać, tyle mają pięknych powiastek i podróży, będziesz sobie od nich pożyczać, zobaczysz, jak ci to będzie miło. A gdy jeszcze będziesz umiała jaką robótkę, to między lalką, książką, drutami lub szydełkiem, tak ci czas prędko upłynie, że nigdy już pewno nie usłyszę tego brzydkiego, a tak częstego narzekania: mamusiu, nudzę się okropnie!

— No, w imię Boże, zaczynajmy! Przeczytaj mi naprzód wszystkie wielkie i małe litery, po porządku.

— A, Ą, B, C, Ć, D, E i t. d. i t. d. i t. d....

— Bardzo dobrze; a będziesz umiała poznać je w abecadle, ale na tej drugiej stronie? Co to za litera?

— P, ta F, a ta S, a ta R, a ta K.

— Bardzo dobrze; widzisz, to już początek. Teraz o to chodzi, by z liter składać słowa, coraz

to inne, łatwe, trudne, aż w końcu ani się spostrzeżesz, jak prędziutko nauczysz się czytać.

— Doprawdy? Ach jak to dobrze!

— A widzisz?

Pierwsza lekcya nie trwała długo; mama nie chciała zrażać i męczyć Helenki; po kwadransie medytacyi nad niemożliwem połączeniem b—a, c—a, d—a, w jedno brzmienie, mała uczennica wróciła do swoich zabawek, które po ciężkiej pracy tem milszemi się jej wydawały.

Kilka dni minęło, następne lekcye trwały już trochę dłużej, już niby się sylaby łatwiej składały, a jednak, wiele jeszcze tajemnic pozostało dla biednej Helenki w Arce Noego niedocieczonych.

Lekcya Stasia odbywała się zazwyczaj od 4-tej do 5-tej po południu; z rana uczył się na pamięć i pisał zadania, a po obiedzie pracował z nauczycielem.

W tydzień może po rozpoczęciu lekcyi z mamą, Helenka przechodząc przez przedpokój, usłyszała dzwonek i sama otworzyła drzwi nauczycielowi Stasia. Języczek ją świerzbiał, żeby się pochwalić swymi postępami.

— Pan nic nie wie? A jabym panu powiedziała jednę nowinę.

— Cóż takiego, moja Heluniu? Nie daj mi umierać z ciekawości.

— Ja się już uczę czytać!

— To ślicznie. To już z Helenki będzie niedługo dorosła panna. A dobrze idzie nauka?

— Ale, okropnie! — przerwał Staś, wpadając w mowę siostrze. — Ja słucham czasami w drugim pokoju i aż się kładę od śmiechu.

— Bardzoś mądry! Cóż to, od razu mam wszystko umieć?

— Ja wiem, że nie; ja sam także porządnie się namęczyłem; ale teraz, kiedy od dawna już umiem czytać, to się tak śmiesznie zdaje... niech pan posłucha: jak nie umiała przeczytać którego słówka, to sobie widać myślała, coby to być mogło i awantury wygadywała. Np. ba-ba, ba-ba,... ża-ba! ró-ża, kałuża; d-y dy, w-a-n wan... Wandzia. Już nawet nie pamiętam, co więcej było!..

— Nic nie szkodzi; ja się nie wstydzę, bo mama powiedziała, że jeszcze się nikt mądrym nie urodził, wszyscy muszą się uczyć, a i ty często bardzo lekcyi nie umiesz.

— Masz zupełną słuszność, moja Helenko, że się pierwszemi trudnościami nie zrażasz; — zakończył rozmowę nauczyciel. — Żartów Stasia nie bierz sobie do serca, bo też to tylko żarty, a w duszy braciszek twój cieszy się, że wkrótce będziesz miała tak jak i on przyjemność w czytaniu. No, panie Stanisławie, chodźmy do naszego pokoju, zo-

baczymy, czy umiesz dziś opowiedzieć tę historyjkę, którą ci jeszcze przedwczoraj zadałem, a której wczoraj wcale nie umiałeś.

— Ach, panie! Z tą nową metodą, to jeszcze gorzej...

— Z jaką nową metodą? Co chcesz powiedzieć?

— A proszę pana, zaraz się wytłomaczę: wczoraj rano przynajmniej z dziesięć razy przeczytałem tę bajeczkę, a jak przyszło do lekcyi — ani rusz. Pan się na mnie gniewał, a ja, choć tak bardzo się uczyłem, nic nie umiałem.

— Cóż dalej? Dotąd nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Zaraz skończę; pamięta pan, że powiedziałem: jak mamę kocham, czytałem z godzinę i nie mogłem się nauczyć. A pan co na to powiedział?

— Co mnie do tego! Dość, że nie umiesz. Czytaj sobie, nie czytaj, abyś na jutro umiał.

Ja też spróbowałem tego drugiego sposobu, nie czytałem, ale teraz, to już wcale nic nie umiem.

Nauczyciel uśmiechnął się pod wąsem z rozumowania Stasia, który w naiwności swojej dał mu nauczkę dokładnego i stosownego wyrażania się, ale mimo to, malec dostał porządną burę i zapowiedź, że na jutro ma umieć bajeczkę doskonale, albo w niedzielę nie pójdzie do cioci Zosi, gdzie właśnie zapowiedziany był bal dziecinny.

Helenka siedząc w drugim pokoju, tryumfowała w duszy i uważała kłopot Stasia za sprawiedliwą karę Boską. Gdyby się z siostry nie wyśmiewał, kto wie, czy nawet przy nowej metodzie, nie byłby umiał bajeczki.

Lekcye czytania szły dalej i dalej; codzień nauka stawała się łatwiejszą; już nawet małe a łatwe zdania udawało się Helence przeczytać bez omyłki. A cóż to była za radość, gdy raz o własnej sile, bez pomocy mamy, dziewczynka wyczytała z dumą: ja-rzy-ny są bar-dzo sma-czne! Morze gdy bu-rza jest stra-szne! Ach, to był tryumf!

Nie śmiejcie się, starsze dzieci, coście już utrapień i ciężkich zgryzot początków czytania zapomniały! Przekopać się zwycięsko przez wały i niebotyczne góry, usypane z samych okropności, jak: barszcz, chrząstka, szczotka, czczość, szczerb, zmierzch i setki innych, to na sześcioletnie siły i rozum nader ciężkie zadanie. Kto jednak raz te trudności pokona, sowitą zdobywa nagrodę.

— Ileż przyjemności zawdzięczacie pięknym powieściom, podróżom i opowiadaniom historycznym! A owe cudowne powiastki, w których nawet niekiedy wróżki, chochliki i różne mocy nadludzkie spotykać się dają, czyż nie zachwycają was?

— Pamiętam dobrze, jak przed trzema laty, po przeczytaniu „Gucia zaczarowanego“, Jerzy

wzdychał i marzył całymi dniami o dobrej pani, któraby go w muszkę zamienić chciała... choćby, jak Gucia, na jeden dzień tylko, choćby tylko na jednę godzinę!

Po miesiącu nauki, Helenka czytała wcale płynnie, ku wielkiej radości mamy, która też chcąc jej dodać bodźca do dalszej pracy, zaprowadziła raz córeczkę do księgarni, kazała podać rozmaite ilustrowane powiastki i pozwoliła wybierać. Dziewczynka ze zdumieniem i ciekawością przypatrywała się pięknym oprawom czerwonym i niebieskim, studyowała tytuły, przerzucała kartki, oglądała obrazki... ach, jak trudno zdecydować się na jedną książkę, kiedy wszystkie takie śliczne! Nareszcie, gdy czas naglił, a mama trochę niecierpliwić się zaczęła, padł wybór na „Podróż Guliwera do Liliputów“.

Wspomnienie zabawnych i sprytnych karzełków, których Helenka widziała raz w teatrze, było powodem, że wybrała Guliwera.

Wróciwszy do domu, wzięła się z wielką skwapliwością do czytania. Czytanie przywodziło jej na myśl rozmaite uwagi, rozmaite budziło pragnienia.

— Ach, Stasiu! — rzekła raz do brata — czybyś ty chciał widzieć prawdziwych Liliputów, ale prawdziwych, nie takich, jak w teatrze, tylko malutkich, malusieńkich?..

— Ej — kiedy to wszystko bajki. Ludzi wysokich na dwa cale niema pewno na świecie.

— Ty nigdy w nic nie wierzysz! A jak się Panu Bogu spodoba, to może stworzyć człowieczków takich maleńkich jak szpilki.

— No, pewno... ja też nie przysięgam, ale mi się tylko tak zdaje, że ludzi nawet tak małych, jak lalki, niema na świecie.

— Ach, Boże, jakabym ja była szczęśliwa, żeby mi się choć parka dostała! Zarazbym poprosiła księdza, żeby im dał ślub, mieszkaliby sobie wygodnie w domku lalki, tam są dwa spore pokoje, a naco im więcej? Jabym o nich pamiętała jak matka; wszystkobym dla nich z obiadu chowała, sprzątałabym w ich mieszkaniu, szyła bieliznę, sukienki, wynosiłabym ich na spacer, gdyby było ciepło, a w zimie woziłabym ich na świeże powietrze w moim zarękawku. Byliby ze mną bardzo szczęśliwi.

— A jakby im się kiedy zachciało podróżować bez twojej wiedzy; pomyśl, co za straszne nieszczęścia mogłyby z tego wyniknąć... Np. wychodzą z domku, nikt ich nie widzi, bo któżby zauważył takie muchy! Łażą po wszystkich pokojach, błądzą, nie mogą drogi znaleźć z powrotem; przerażeni, siadają w kąciku pod fotelem lub kanapą. Tata wchodzi do pokoju, a że ma buty skrzypiące,

więc oni myślą, że to grzmoty, albo ryk dzikiego zwierzęcia; chcą się jeszcze bezpieczniej schować, i kładą się na podłodze pod dywanem. Ty, nie wiedząc o niczem, wpadasz do pokoju, biegniesz prędko, nogą na nich nadeptujesz, krak... i już po Liliputach!

— Ach, jak ty możesz takie straszne rzeczy wymyślać! Jabym sobie ich śmierci nigdy nie darowała... jabym chyba za pokutę, na resztę życia wstąpiła do klasztoru.

— Ale — co też ty wygadujesz! Przecieby to było niechcący; skądże ty możesz wiedzieć, że oni leżą pod dywanem? Niewiadomość grzechu nie czyni.

— Ale zawsze miałabym na sumieniu życie dwojga ludzi... głupstwo! przecież jest na to wyborny sposób: postawię domek na komodzie i będą musieli póty siedzieć, póki sama po nich nie przyjdę.

— Aha, a na komodzie zawsze leży twoja robota. Liliputka mądra, rzuca kłębek od pończochy na ziemię, po nitce oboje na dół się spuszczają i dalej w świąt szeroki! Wikcia właśnie chowa mamine suknie do szafy, nowość ich zaciekawia; korzystając z drzwi otwartych włażą także do szafy, Wikta prędko zamyka i przycina nogę Liliputowi. On naturalnie krzyczy w niebogłosy, ale ktoby tam brzęk komara usłyszał! Nazajutrz rano, mama otwiera

szafę, biedne stworzenie leży omdlałe ze złamaną nogą, a nieszczęśliwa żona cała we łzach, przeklina godzinę, w której się do szkaradnych olbrzymów dostała. Mama czemprędzej posyła po doktora, Wikta leci do pana Rydygiera...

— Czy to potomek tego, co to Wanda?

— Ach, pewno; ale nie przerywaj. Pana Rydygiera niema w domu, wyjechał na jakąś operacyę, przychodzi inny doktór, także okropnie mądry. Ale co tu mądrość pomoże, kiedy nigdy w życiu takiego maleństwa nie widział... desperacya, Liliputka płacze, Liliput w gorączce leży, noga dzięki Bogu, tylko złamana, a nie strzaskana, jak się pierwotnie obawiano. Trzeba ją złożyć, a tymczasem doktór nie wie, jak się wziąć do tego, bo palce ma za grube. Choć samymi koniuszkami się dotyka, to od kostki do kolana we dwóch jego palcach cała noga się zmieści...

— Ach, Boże, co tu robić! — wzdycha przejęta fantastycznem opowiadaniem brata, Helenka.

— Mama chętnieby to sama zrobiła, bo ma daleko mniejsze ręce, ale cóż, kiedy nigdy nie uczyła się chirurgii, więc nie ma o tem ani pojęcia. Zgadnij, co dalej?

— Ach nie nudź, tylko gadaj!

— Aha... teraz dopiero pokazuje się wyższość mężczyzn nad kobietami! Pan doktór widząc, że

sam nie da rady, woła mnie do siebie, robi na prędce mały wykład, rysuje mi na papierze jak wygląda kość w ludzkiej nodze, tłomaczy mi wszystko doskonale, ja, naturalnie nie w ciemię bity, pojmuję wybornie; koniec końcem, pod okiem doktora, jako jego asystent, robię operacyę, składam nogę prześlicznie, bandażujemy, gipsujemy, raz, dwa, trzy i mój Liliput po kilku godzinach przychodzi do przytomności. Gorączka ustępuje, doktór odwiedza go codziennie, a że takie cieniutkie kości daleko prędzej się zrastają niż nasze, po tygodniu już mój chłopak zdrów jak ryba.

— No, ale dlaczego powiedziałeś, że tu się pokazuje wyższość mężczyzn nad kobietami?

— To przecież jasne; tak samo ty masz małe ręce jak i ja, dlaczego doktór nie ciebie wzywa do pomocy, nie ciebie uczy chirurgii, tylko mnie?

— Dlaczego? dla... o jaka ja też niemądra! przecież to wszystko nieprawda... to tylko twój wymysł.

— A widzisz? Właśnie na moje wychodzi: co mężczyzna, to nie kobieta, ho, ho! Ja bajki plotę, a ona słucha z otwartą gębą. Ha, ha, ha, ha!

— Jeżeli bałamucić i okłamywać kogoś, co ci wierzy, dowodzi wielkiego rozumu, to ja już wolę pozostać niemądrą. A w dodatku te twoje bajki bardzo smutne; jak możesz mieć serce, takie okropne

rzeczy wymyślać. Jak sobie wspomnę, żem ich moją nogą zabić była mogła, to mi się aż zimno robi.

— Jaka mi tkliwa! Rozczulasz się nad losem Liliputów, których nie było i nie będzie, a wcale ci sumienie nie wyrzuca tego, co robisz w rzeczywistości.

— Już znowu coś komponujesz...

— O, nie; moja kochana, czy ty wiesz, ile tysięcy zwierząt noga twoja depcze na każdym kroku? Jesteś mimowolną zabójczynią niewinnych stworzeń i wcale nie płaczesz.

— Nie zabijam... nie prawda! Jeszczem ani pchły, ani muchy nie zabiła, od kiedy żyję. Pamiętasz, jak płakałam wtedy, kiedy to Tadzio zabił jelonka?

— No, to prawda; ale pan nauczyciel mówił mi, że w powietrzu znajdują się miliardy drobniutkich stworzeń, gołem okiem niedostrzeżonych. Po tych zwierzątkach, chcąc nie chcąc, musimy stąpać, połykamy ich po parę milionów za każdem odetchnieniem...

— Ten dopiero zmyśla!

— Spytaj się Jerzego.

— Co Jerzy wie!

— To się spytaj mamy albo taty.

— Dobrze; przy obiedzie spytam się mamy, a także o Liliputów, to już raz będę miała spokój, bo mama wszystko wie doskonale.

ROZDZIAŁ XII.

Rok szkolny dobiegał końca... w gimnazyum wrzało gorączkowe życie. Starsi uczniowie, pojmujący potrzebę nauki, pewni, że w miarę sił i zdolności sumiennie spełniali swe obowiązki, spokojnie (z bardzo małymi wyjątkami) oczekiwali świadectw i promocyi. Wielu, bardzo wielu, miało pewność, że wytrwałą pracą zdobyli stopień celujący; a ta myśl i ta pewność była im nagrodą za niedospane noce, za godziny mozołu; była im nadzieją, że i w dalszem życiu dojdą do wymarzonego celu, zostaną pożytecznymi, kto wie, znakomitymi ludźmi, na pociechę i radość rodziców, na chwałę kraju.

Dzieciaki z niższego gimnazyum, mniej poważnie zapatrujący się na życie, nie sięgający wzrokiem w dalszą przyszłość, uczący się zadanej lekcyi częściej ze strachu przed nauczycielem, z obawy gniewu taty, niż z prawdziwego zamiłowania obowiązku, z biciem serca liczyli godziny, z niespokojną ciekawością spoglądali na profesorów, chcąc, rzekłbyś, z twarzy ich wyczytać, jaki stopień dostaną. Na-

rady odbywały się po kątach, codzień w chwilach pauzy.

Malcy wydawali na niektórych kolegów wyroki potępiające, kiwali głowami, dumając, który przejdzie, a który będzie spalony; prymusy każdej klasy trzymali się najczęściej razem, a nie trapieni czarnemi przypuszczeniami, cieszyli się nadzieją niedalekich, a wesołych wakacyj.

Rodzice Jerzego ufni w pilność i zdolności syna, cieszyli się z nim razem nadzieją dobrego świadectwa i z niecierpliwością czekali końca szkolnego roku, tembardziej, że wujenka Karolowa przypominała co kilka dni, listownie, obietnicę spędzenia wakacyi w Topolówce.

Stasia także czekał egzamin w szkole; chociaż bowiem uczył się w domu prywatnie, co roku jednak, aż do wstąpienia do gimnazyum, potrzeba było sprawdzać, jak się uczył. I to wobec nieznajomych nauczycieli — ba, nawet samego dyrektora! Biedny Staś drżał w duszy na myśl o tym dniu uroczystym a przerażającym, ale udawał zucha i zaręczał po kilka razy dziennie, że dawno już na nic tak się nie cieszył, jak teraz na ten egzamin.

— No, dzięki Bogu, jutro już będę sobie wielkim panem na całe dwa miesiące! — zawołał Jerzy, wracając ze szkoły. — Jutro rano dowie się

Europa, że jestem porządny chłopak i uczę się... a no, zobaczycie świadectwo.

— To już jutro doprawdy taki sądny dzień, — wyrwał się Staś — ja także zaraz po dziewiątej mam iść z tatusiem do tej wielebnej szkoły. Ani ich znam, ani oni mnie, i będą mnie męczyć.

— Aha, słyszysz Jerzy? Tak się nibyto cieszył, wyskakiwał z radości, jak tylko wspomniał o egzaminie, a dziś, kiedy strach mu w oczy zagląda, to sądny dzień jutro będzie...

— O, tyś mądra! Łatwo ci się śmiać ze mnie, bo sobie spokojnie siedzisz przy mamusinej spódnicy; ani ty o Bożym świecie, ani cały świat o tobie nie wie. Zwyczajnie, kobieta!

— Ot, cicho, bębny! Nie zatruwajmy sobie ostatnich kilku godzin. Ja i tak nie mam nic do roboty, bo już tylko rozdanie świadectw jutro rano, a ty, Stasiu, czegoś się przez cały rok nie nauczył, tego za dwie godziny nie złapiesz. Więc zróbmy sobie jaką wspaniałość: albo poślijmy po obiedzie po wszystkie znajome dzieci, albo sami gdzie w świat powędrujemy. Ja idę do mamy prosić o pozwolenie.

— No, to już lepiej idźmy do kogo, a jutro, w razie tryumfu wyprawi nam mama bal, jakiego świat i korona nie widziała. Prawda mamusiu?

— Prawda, synku; ale — jak sam powiedziałeś, tylko w razie tryumfu. A nawet poradzę wam,

co macie zrobić: wy, chłopcy, zamiast rozsyłać biedną Wikcię po całym Krakowie z kartkami, idźcie zaraz do wszystkich znajomych dzieci po kolei i zaproście sobie kogo zechcecie na jutro, na godzinę trzecią po południu. Jeżeli świadectwo Jerzego (jak się spodziewam) będzie bardzo dobre, jeżeli Stasiowi egzamin się uda, wtedy nastąpi sute przyjęcie: czekolada, ciasteczka, rozmaite dobre rzeczy nawet lody.

— Nawet lody! — powtórzyło echo w stronie Helenki.

— W razie zaś...

— Ach, mamo! O takich smutnych rzeczach nie trzeba mówić, ani nawet myśleć, — przerwał Jerzy.

— Proszę pani, waza na stole, — prosiła Wikcia przezedrzwi.

Chłopcy nie mogli się doczekać końca obiadu, tak im pilno było lecieć z temi zaprosinami. Tatuś ulitował się i pozwolił wstać od stołu wcześniej.

— Wio, Stanisław! Gdzie najpierwej idziemy?

— Do cioci Zosi, bo najbliżej, a potem już po porządku, jak nam będzie po drodze.

— Tylko nie zasiedźcie się długo, na siódmą macie być z powrotem.

— Dobrze, mamo. No — marsz! Tra tam, tra ta ta ta ta... wojsko wyrusza z obozu.

— Żegnam cię, piękna damo!

Jerzy z komicznem uszanowaniem przykląkł na jedno kolano przed Helenką i rękę położył na sercu.

— Ty, nieznośniku, zawsze sobie drwisz ze mnie.

— Ja? Hołd ci składam, jakby jakiej królewnie, a tobie jeszcze źle? Chodź, Stasiu; porzućmy te progi niegościnne, gdzie nami piękna, a dumna dziewica pogardza, idźmy w świat szukać przygód i niebezpieczeństw, jak ten poczciwy Don Kiszot ze swoim Sanszo Pansą. Tra tam, tra tam, tra ta, ta ta ta!

Za chwilę obaj chłopcy już byli daleko.

— No, gdzież pójdziemy najpierwej? — spytał Staś, kłusując koło Jerzego, któremu nie mógł nadążyć.

— Do cioci Zosi, bo najbliżej, a potem to już będziemy wszędzie po drodze wstępować.

Powiem wam coś w sekrecie, kochani czytelnicy, ale mnie nie zdradźcie, bo ufam, że się z pewnością poprawi. Jerzy ma bardzo nieładny zwyczaj robienia min ustami i nosem. Im więcej myśli nad czemś, im się czem bardziej zajmuje, tem gorzej się wykrzywia. Ile już razy rodzice gniewali się na niego! Przyrzeka poprawę, a za kwadrans znowu to samo. Dziś, naturalnie, z radości, że już wakacye za pasem, z radości, że bal ogromny mama

jutro wyprawi, kręcił nosem i buzią, jak na sprężynach.

Naprzeciw naszych chłopców szedł trotoarem terminator od malarza z garnuszkiem farby i pędzlem w ręku, podśpiewując sobie. Spojrzał na Jerzego i wrzasnął piskliwym głosem:

— A ty, co wyprawiasz, paskudziarzu jakiś! Myślisz, żeś panicz, to ci wolno wykrzywiać się na mnie? Ja cię tu zaraz rozumu nauczę! Masz, żebyś był ładniejszy!

I nim się chłopcy opamiętali, nim Jerzy zdołał w bok odskoczyć, malarczyk pędzlem zmaczanym w zielonej olejnej farbie, umalował mu cały lewy policzek.

Gdy pierwsze osłupienie braci minęło, już mściwy chłopak był na drugim końcu ulicy.

— Ach, Boże! co ja pocznę nieszczęśliwy! — lamentował Jerzy. — Jakże pójdę przez miasto z taką zieloną twarzą! Nicem mu nie zrobił, a on mię tak zasmarował...

— No, już to prawdę mówiąc, krzywiłeś się strasznie; żebyś się mógł widzieć w lustrze! A on biedny myślał, że się z jego poplamionej bluzy wyśmiewasz.

— Ach — nawet go nie widziałem. Co ja zrobię, co ja zrobię!

— Wiesz co? Weź chustkę i zasłoń sobie całą twarz, kto cię zobaczy, pomyśli, że cię zęby bolą.

Pobiegniemy prędziutko do cioci Zosi, ona ci z pewnością coś na to poradzi.

Chyłkiem, przecznicami, przemknęli się chłopcy na Karmelicką ulicę i wpadli do mieszkania cioci, przez kuchnię naturalnie, żeby ich przypadkiem gość jaki nie widział.

— Teresiu! zmiłuj się — zawołał Jerzy do kucharki — patrzaj, co mi się stało!

— Oho! jakieś nowe figle!

— Ale, nie figle, nie! To chłopiec jeden niegrzeczny tak mnie pomalował, zlituj się, umyj mnie!

— A czy ja wiem, czem się pokost zmyje, trzeba pani poprosić.

Staś skoczył do pokoju i sprowadził ciocię. Obtarto najpierw plamę na sucho, ile się tylko dało, a potem oliwą, terpentyną, spirytusem, zmywała ciocia własnoręcznie piękne malowidło z buzi siostrzeńca. Udało się jakoś szczęśliwie, tylko zamiast zielonej, wystąpiła na twarz plama czerwona od tarcia i zadrażnienia skóry.

— Masz, dziecko, naukę — rzekła ciocia, dowiedziawszy się o przyczynie wypadku — może to przykre lekarstwo wyleczy cię ze szkaradnej wady. Jeżeli się poprawisz, to doprawdy szczęściem nazwij przygodę dzisiejszą. Taki byłeś czasem nieznośny z temi minami. Przyznam ci się, obawiałam

się nieraz, posyłając moje dzieci do was, by się od ciebie nie nauczyły.

— Ach! może ciocia być pewną, że całe życie popamiętam przykrość, jaka mnie dziś spotkała i już mnie nikt nie złapie na uczynku, będę się tak pilnował, ani okiem nie mrugnę.

— No, no, zobaczymy.

— Ale myśmy tu przyszli z bardzo ważnym interesem do cioci — rzekł Staś.

— Taak? O cóż to idzie?

— Jutro bal u nas, na cześć mojego egzaminu i świadectwa Jerzego; prosimy, w imieniu mamy, o Józię i Henrysia.

— A ja mogę przyjść na tę fetę?

— Ciocia? Ach naturalnie, mama się okropnie ucieszy.

— Moja ciociu złota, czy bardzo mam czerwony policzek? Tak nam pilno iść jeszcze zaprosić Wandzię i Tadzia, Adasia i Leszka, Andzię i Walunię.

— Cóż to za Walunia? — spytała ciocia.

— To jedna mała dziewczynka, którąśmy niedawno poznali.

— A jak się zabawnie nazywa!

— No, jakże?

— Van Moor, proszę cioci, to tak całkiem po holendersku, a jaka tłusta! coś strasznego!

— Jeszcze ciocia takiej nie widziała! Ale musimy już iść, bo mama kazała wcześnie wracać. Całujemy rączki i lecimy, ale niech ciocia nie zapomni, o samej trzeciej!

Pobiegli. Wszystkie znajome dzieci z radością przyjęły zaprosiny; przed siódmą wieczorem Staś i Jerzy byli już w domu z powrotem.

Zazwyczaj, prawie codziennie, strofowała mama synków za nieuwagę przy pacierzu: to Staś opuścił jaki wyraz, to znów Jerzy z takim pośpiechem recytował Ojcze nasz i Zdrowaś, że zachodziła obawa, czy Pan Bóg zechce słuchać takiej paplaniny. Mama, obecna zawsze przy pacierzu, upominała, gniewała się, sama klękała i modliła się głośno razem z dziećmi, by zmusić do uwagi. Dziś jednak, obaj bracia pobożnie i z przejęciem odmówili wieczorne modlitwy, a na zakończenie Jerzy dodał modlitwę do Matki Boskiej, własnego pomysłu, żeby się zlitowała i pozwoliła szczęśliwie przeżyć dzień jutrzejszy.

— Tak, tak, moje dzieci — zauważyła mama — jak trwoga, to do Boga; a czemu to codzień nie modlicie się tak szczerze, jak dzisiaj?

— Moja mamusiu! My zawsze mamy dobre chęci; tylko wieczorem to człowiek zawsze taki śpiący... a dziś, ze strachu, jakoś i spać się nie chce.

— No, no, nie macie się czego bać. Uczycie się dobrze, mam nadzieję, że jakoś to będzie. Dobranoc!

— Ach, mamo, dobranoc! Niech i mamusia zmówi „Zdrowaś Marya“ na naszą intencyę.

— Dobrze. Śpijcie już i nie myślcie o niczem.

Nazajutrz raniutko pozrywali się chłopcy; niepewność zbudziła ich wcześniej, niż zwykle. Jerzy, nie skończywszy śniadania, poleciał przed ósmą do gimnazyum, a Staś po dziewiątej powędrował z tatą i nauczycielem do „szkoły wzorowej“, gdzie razem z dwoma innymi chłopczykami miał zdawać egzamin.

Ach — z jakiem biciem serca usiadł w ławce... z jak świętą grozą wlepił oczy w oblicze pana dyrektora. Towarzysze jego, bodaj czy nie w większej jeszcze byli trwodze. Po chwili uroczystego milczenia, zapytawszy każdego chłopca o imię i nazwisko, kazał im nauczyciel czytać po kilka wierszy. Pokazało się, że Staś czytał płynnie i widać było, że rozumie, co czyta.

— A wiesz ty, ile jest przypadków, mój chłopczyku?

— Siedem — odpowiedział, powstając.

— No tobyś mi może siebie samego tak przedeklinował trochę?

— Kto jestem? Staś. Czyja ta książka? Stasiowa. Komu...

— Ja ci pomogę; komu serce bije ze strachu?

— Stasiowi. Kogo pan profesor pyta? Stasia.

— Bardzo dobrze. Możesz usiąść; a ty blondynku, powiedz resztę przypadków. — Bardzo dobrze. A teraz, który z was... który z was, powie mi jaki ładny wierszyk, ale pięknie, powoli, wyraźnie, bo ja trzepałkowskich nie lubię.

— Ja! Ja! Ja Zawołali wszyscy chłopcy razem.

— Ha, kiedy wszyscy macie ochotę, to i owszem. Cóż ty mi powiesz Stasiu?

— Czy można bajkę?

— O, ja bardzo lubię bajki. Słucham.

— „Chyży, wysmukły i zwrotny zając... i t. d. i t. d. i t. d.

Gdy skończył, pogłaskał go pan dyrektor po twarzy, pan profesor także uśmiechał się z zadowoleniem. Towarzysze Stasia deklamowali również: jeden kota i myszkę — co to książkę zjadła, drugi opowiedział smutną historyę niepoczciwej czapli... „padła nieżywa......“ Słowem, wszyscy trzej popisali się bardzo dobrze.

Potem było trochę niemieckiego i trochę geografii. Ostatni kończył odpowiadać, gdy na salę wszedł ksiądz katecheta. Nastąpiły pytania z katechizmu i historyi Świętej, potem znów pan profesor kazał na tablicy pisać rozmaite, nader zawikłane zadania rachunkowe:

np. „kupiec miał sztukę sukna, metrów 33, sprzedawał po 3 złr. metr, dwóm kupującym, jeden kupił 19 metrów, drugi 11; ile każdy z nich zapłacił, ile kupiec razem otrzymał i wiele mu się jeszcze sukna zostało?" Jakoś i to zadanie gładko poszło, i drugie i trzecie.

Nie będę szczegółowo opowiadać przebiegu całego egzaminu, jedno tylko zanotować muszę, że Staś opowiadając wjazd Chrobrego, ze zwykłą sobie nader żywą gestykulacyą, jak machnął ręką, przedstawiając dobitnie uderzenie mieczem w Złotą Bramę, tak też strącił pełniutki kałamarz, co stał tuż przed nim na stole. Atrament się wylał, nietylko na podłogę, ale i na pierwszą ławkę, a na ławce właśnie spoczywał nowiusieńki popielaty kapelusz Stasia, który mu mama, ze względu na tak wielką uroczystość, wziąć pozwoliła.

— Aj, aj... ach, Boże... mój kapelusz!

Biedny Staszek ze wstydu i żalu poczerwieniał jak burak; łzy mu stanęły w oczach, ach, gdyby tak w domu, tożby sobie popłakał! Ale w szkole przy panu dyrektorze, przy księdzu katechecie...

— Tęgi wojak z ciebie! — zaśmiał się dyrektor. — Wymachujesz ręką, jak szablą.

Po skończonym egzaminie, chłopcy, którzy dobrze zdali (Staś na czele), otrzymali w nagrodę ładnie oprawne książeczki z powiastkami i pochwałę

z ust samego dyrektora. Staś tak czuł się szczęśliwym, tak mu lekko było na sercu, tak mu się chciało śpiewać, skakać, krzyczeć z radości, że nie wiele myśląc, rzucił się swemu nauczycielowi na szyję i zaczął go całować bez upamiętania. Za trud swój i pracę całoroczną, pan nauczyciel miał więc także nagrodę.

O godzinie dwunastej, bohater nasz był już w domu.

— No, opowiedz, Stasieczku, jakże ci poszło?— pytała mama ciekawie.

— Ano mamusiu, czytałem, rachowałem, bajkę mówiłem, wszystkie grzechy, jakie tylko są na świecie wiedziałem, tylko Anioła Pańskiego nie umiałem.

— Jakto... Anioła?

— A kazał nam ksiądz na początek mówić pacierz, umieliśmy doskonale, nawet ksiądz powiedział, że za dobrze, bo za prędko....

— Widzisz, to samo codzień ci powtarzam.

— A potem... zmówcie Anioł Pański. A tu ani be, ani me, żaden nie umie. Zaczął się ksiądz bardzo gniewać, ale jakem mu palnął bez zająknienia grzechy główne, cudze i wołające o pomstę do nieba, tak się okropnie ucieszył i „Anioła“ mi przebaczył.

— Pokażno świadectwo. Wyborne. Bardzo się cieszę, moje dziecko, żeś umiał wszystko, o co cię

pytano; miło rodzicom widzieć, że mają pilne, poczciwe dzieci, a nie próżniaków i niedbalców.

— Ach, mamo... kiedy to nie koniec. Niby to wszystko dobrze poszło, gdyby nie ten kapelusz.

— Cóż ci się stało z kapeluszem?

— Nawet nie wiem, jak się mamie przyznać. Opowiadałem historyę tak żywo, takem sobie wszystko wyobraził wyraźnie, jakbym to ja sam był przy tem... Jak wytnę ręką, niby mieczem, w bramę, tak się atrament wylał i o!

— Nowy kapelusz! W takim okropnym stanie! Zawsze musisz coś spłatać; kiedy się ty z tej nieuwagi poprawisz! No — ale dziś nie umiem się gniewać na ciebie. Dobrem świadectwem tak mnie uradowałeś, że ci chętnie tę szkodę przebaczę, a kapelusz musimy kupić zaraz po obiedzie, bo w tym niepodobna pokazać się na ulicy.

— Hurra! Wiwat! Mama się nie gniewa! Egzamin zdałem! Tatuś darował mi srebrny reński! Czy jest w całem mieście kto szczęśliwszy ode mnie?

— A żebyś sobie wiedział, sztubaku, że jest! I to twój rodzoniusieńki brat! — zawołał Jerzy, który biegnąc ze szkoły, usłyszał wykrzykniki Stasia, skaczącego po podwórzu w nadmiarze radości.

— Masz świadectwo?

— Cudo, nie świadectwo!! Same celujące, tylko jedno chwalebne. Uff! takem się zleciał... tak mi serce bije... chciałem jak najprędzej mamie pokazać. A jest mama w domu?

— Jest na górze w swoim pokoju; idź, idź, prędko.

ZAKOŃCZENIE.

— Trzecia bije! Ciekawym kto pierwszy przyjdzie! — mówił Staś, biegając od okna do okna. — Powiem prawdę, że to nieznośniki!... Człowiek ich prosi, błaga, zaklina, żeby się nie spóźnili, powinni przyjść z uderzeniem godziny. Oho! coś tupie po schodach...

Wszystkie dzieci wybiegły pędem do przedpokoju, lecz spotkał ich mały zawód: przyszli wprawdzie goście, ale nie proszeni. Trzy córeczki cioci Reni i dwuletni Janek, przyparadowali ze swoją boną: wieść stugębna o czekoladzie i lodach doszła do ich uszu i nie dała spokojnie w domu siedzieć. Najstarsza z nich Marynia, mogła należeć śmiało do towarzystwa, bo miała już lat osiem, troje młodszych zato, zawadzało tylko przy ciuciubabce i in-

nych grach ruchliwych, a do więcej myślących zabaw także nie można było liczyć na nich; umieli tylko skakać i śpiewać, a gdy się które przewróciło, to był dopiero wrzask nieopisany!

— Ach, Boże! Co my z tymi bębnami będziemy robić! — westchnął Jerzy.

— E... nic nie szkodzi — szepnęła Helenka. — Marynia dobra do każdej zabawy, a tamtych zapakujemy razem z naszą Maryńcią do niebieskiego pokoju, niech sobie tam robią, co chcą.

— A, no zapewne, inaczej się nie da; a nawet, kto wie, czy się nam nie przydadzą, mam śliczną myśl układania żywych obrazów; do takiej zabawy, im więcej osób, tem lepiej. To już dobrze; już się nie martwię, że przyszli.

— Matko Święta! A to kto tak wali we drzwi? Lecę, galopuję!

Ach, Boże!... Dzieci!... Cud się stał! Szczęście!... Okropność!... Wujenka!... Michaś!... Lili!...

— Zmiłujcie się, czy to niechcący się złożyło, czyście umyślnie na nasz bal przyjechali?

— Ciociu! proszę mi dać jeszcze drugą rękę, bo to mało w jednę całować za taką radość. No, gadajcie, na długoście przyjechali?

— Na dziś aż do jutra, a jutro albo rano, albo po obiedzie, kiedy wasza mama zechce, zabieramy was do Topolówki na dwa miesiące.

— Wiwat, ciotka najmilsza! Ach, jak ja się cieszę, jak się cieszę!

— A wie ciocia, że ja cudnie zdałem egzamin? I kapelusz atramentem się oblał i nic a nic nie płakałem, ani się mama za tego Chrobrego nie gniewała.

— Moje dziecko, nie bardzo jasna twoja mowa, ale w każdym razie tyle z niej rozumiem, żeś zakończył szczęśliwie rok szkolny i serdecznie ci tego winszuję. A gdzież mama?

— Mama... zdaje się w kuchni, bo to dziś straszna uroczystość u nas, kucharka piecze ciasteczka i babkę, a mama poszła jej pomódz.

— Ja pobiegnę po mamę!

— Nie trzeba, Helenko, pójdę sama do mamusi, może i ja się na co przydam. Lili, Michasiu, chodźcie ze mną, przywitamy się z ciocią.

— Ale wracajcie zaraz, bo my czekamy.

— Ach, w tej minucie; a kto jeszcze do was przyjdzie?

— Dużo, dużo ludzi, idźże już witać się.

Wprawdzie goście nie trzymali się ściśle trzeciej godziny, ale zato około wpół do czwartej, jak się dzwonek rozdźwięczał, tak końca temu nie było, zeszli się wszyscy prawie jednocześnie.

— Stańcie-no rzędem — zawołał Jerzy, gdy już nie brakowało nikogo — muszę porachować, ile nas jest. No, już?

— Już.

— Andzia, Lili, Marynia, Wandzia, Walunia, Józia, Helenka, Henryś, Michaś, Tadzio, Adaś, Leszek, Staś i ja. Czternaście! Patrzcie państwo! równo tyle chłopców, co dziewcząt! A nie, bo jeszcze Ewcia, Lizia i Janek w tamtym pokoju. A prawda i nasza Maryńcia; dobrze tatuś powiada: kobiet zawsze więcej na świecie, niż mężczyzn! Widzicie panny, czego dobrego, to mało!

— O, jaka mi osobliwość! — odcięła Józia. — Właśnie, że my jesteśmy lepsze od was; czyś słyszał kiedy, żeby was kto aniołami nazywał? A mój tatuś zawsze mówi mamie: „mój aniołku".

— I mój także!

— I mój!

— I mój!

— To jeszcze niczego nie dowodzi, bo nasza mama mówi tacie: „moje dziecko", a przecie tata taki wysoki i starszy od mamy, i ma nawet już kilka siwych włosów. A co?

— Ot, nie nudzilibyście — przerwała dysputę Walunia — więcej kobiet, niż mężczyzn... no to widać tak trzeba; Pan Bóg wie najlepiej, co robi, a myśmy za mali, żebyśmy to mogli zrozumieć. Zresztą, co mi tam! Bawmy się w co ładnego!

— Wiecie, dla rozruszania i na rozpoczęcie festynu, zatańczmy tańca dahomejskiego!

— Jakże to się tańczy?

— Trzeba skakać, jak tylko można najwyżej, potem nogami fikać w prawo i w lewo, rękami machać na wszystkie strony i śpiewać każdy co innego. Z takiego śpiewania robi się bardzo ładna dahomejska muzyka, tylko mama nie bardzo to lubi, powiada, że ją zaraz głowa boli...

— Ach i nasza nie lubi!

— No, ale dziś, nikogo starszego blizko niema, możemy sobie śmiało poskakać; ja zaczynam: Pije Kuba do Jakuba!...

— Wlazł kotek na płotek!

— Albośmy to jacy, tacy...

— Uciekła mi przepióreczka...

— Lata ptaszek po ulicy...

— Rosła kalina z liściem szerokim...

— Kukuryku, Magda...

— A ty, Adaś, czego stoisz?

— Bom się już zmęczył okropnie; wy tak wysoko skaczecie, a ja nie potrafię, choć się staram; już mię i gardło od śpiewania boli...

— Wstydź się, taki duży chłopak i nic dahomejskiego w sobie niema!

— Mój Jerzy kochany, dosyć tego skakania, odpocznijmy sobie.

— Ha — dobrze; wiecie, bawmy się w żywe obrazy, to taka przyjemna zabawa.

Wynoście się do przedpokoju i czekajcie tam, aż was zawołamy; Lili, Józia, Wandzia i Helenka zostaną zemną, ułożymy ładny obraz, a was zawołamy, żebyście zgadywali, co znaczy.

— A potem my?

— Naturalnie; potem wy znów coś ułożycie, a my przyjdziemy zgadywać. No, proszę za drzwi i nie podsłuchiwać! — Uważajcie — tłómaczył Jerzy wybranym przez siebie dziewczynkom: — ubierzemy Lili bardzo ładnie, ona będzie Wandą, a wy jej towarzyszkami i wskoczy do Wisły; dobrze?

— A gdzież Wisła?

— Och, jak ty sobie nie umiesz nic wyobrazić, to coś strasznego! Stanie na sofie, to będzie skaliste wybrzeże, a potem skoczy na podłogę i upadnie, a wy będziecie się zanosić od płaczu; ot i cała sztuka.

— A w co ja się ubiorę?

— Poczekaj, weźmiemy mamin szlafrok turecki z ogonem, to będzie prawdziwa szata królewska; prosiłem mamy o pozwolenie jeszcze z rana, więc możemy brać z szafy, co tylko zechcemy, oprócz tej koronkowej sukni, bo mama się boi, żebyśmy jej nie podarli.

— Pysznie! wybornie! no, dawaj ten szlafrok! Buuu... taki długi!

— Nic nie szkodzi, jak staniesz na sofie, to

będziesz się wyższą wydawać, a na głowę weź sobie to małe prześcieradełko — to niby welon... ach, cudownie!

— A my?

— Ee — wy jesteście takie sobie zwyczajne dziewczęta z przedhistorycznych czasów; cobyście się miały stroić! poproście Wikci, ona wam co da.

Dziewczynki pobiegły do niebieskiego pokoju błagać Wiktusię o przybory do żywych obrazów i widocznie trafiły na jej dobry humor, bo wróciły niebawem stosownie przebrane: Wandzia i Józia miały spódnice perkalowe w kwiatki, naturalnie długie aż do ziemi, a na głowach zawoje z ręczników; Helenka zrobiła sobie pelerynę z włóczkowej kapy, z wózka Maryńci.

— No, teraz, Lili, winduj się na kanapę i stój spokojnie chwileczkę, potem podnieś ręce do góry, krzyknij żałośnie i bumśnij się na ziemię; wy stójcie z początku przy niej, a jak upadnie, to zacznijcie ręce łamać i lamentować; rozumiecie?

— Rozumiemy.

— No, to ustawcież się, bo drzwi otwieram.

. . . . Już! Proszę wejść i zgadywać, co ten piękny obraz przedstawia.

Milczenie.

— Jakto? Żadne z was nie wie?

— Ja zgadłam! wiem, wiem, to Jezabel wyrzucona przez okno psom na pożarcie!

— Ale cóż ty pleciesz Waluniu; zastanów się.

— No jakże? Lili upadła z góry na ziemię, zabiła się, a one się rzuciły na nią i wrzeszczą; dziwię się tylko, że zgodziły się udawać dzikie psy.

— Ależ nie! nie zgadłaś; to jest Wanda, wskakująca do Wisły!

— Aha! Prawda! Śliczny obraz. Powtórzcie jeszcze raz, bardzo nam się podoba!

— Cudownie!

— No, a teraz Jerzy i wy, coście przedstawiały Wandę, idźcie sobie, my wam coś wspaniałego ułożymy. Wymyśliłem sobie obraz, czekając w przedpokoju; ale się proszę nie niecierpliwić, bo to trochę długo potrwa.

— Dobrze, dobrze, ale zawsze starajcie się pospieszyć.

Zamknąwszy drzwi za wychodzącymi, Staś wytłomaczył reszcie dzieci, jaki obraz przedstawić zamierzał, poczem wzięto się skwapliwie do urządzania:

— Henrysiu, pomóż mi przysunąć stół do ściany, na stole postawimy krzesło, to będzie tron i ja siędę na nim.

— A ja?

— Ty będziesz katem.

— A ja?

— Ty, Leszku, będziesz żywem dzieckiem, a ty, Tadziu, nieżywem.

— Nie potrzebuję...

— Niegrzeczny jesteś, nie chcesz się bawić, to się nie baw; Janek się dopiero ucieszy, jak go zawołamy. Idźże sobie i nie gadaj do nas, kiedyś taki.

— Mój ty kochany, nie gniewaj się... już będę nieżywem dzieckiem; a co mam robić?

— Nic trudnego, położysz się na ziemi, zamkniesz oczy i ani się ruszysz; pamiętaj.

— Dobrze, zobaczysz, jaki będę grzeczny.

— Ty, Waluniu, będziesz tą złą matką, a ty Andziu tą dobrą. Wy zaś reszta posiadacie sobie w okrąg przy moim tronie i będziecie stanowić dwór króla Salomona. Nie potrzebujemy się bardzo przebierać, bo szkoda czasu, każde z was niech sobie prędko samo coś wymyśli, żeby się tamci za drzwiami nie nudzili. Ja chapię maminą niebieską kołdrę atłasową i wyłażę na tron; no, nie pyszny płaszcz królewski, hę?

— Ale bez korony ani sposób — zauważył Henryś.

— Skądże ją wziąć... ach mam! mam! biegaj, Michasiu, do graciarni przy kuchni, tam na szafie jest pęknięty abażur porcelanowy, od wiszącej

lampy; cudna będzie korona! Widziałem nawet na obrazkach takich królów izraelskich, to doprawdy mieli jakieś czapy bombiaste na głowach, całkiem jak abażury. Tylko poproś tam kogo, żeby dobrze z kurzu obtarli i sobie także co wyszukaj.

W parę minut Michaś powrócił z kuchni, fantastycznie przepasany kraciastą chustką kucharki; a że skarpetki tylko miał na nogach, nie pończoszki, więc w tem przebraniu podobniejszy był do szkockiego górala, niżli do senatora króla Salomona.

— Na, masz swoją koronę i pakuj się na tron, a my się spieszmy, bo tamci już nogami tupią za drzwiami.

— Czekajcie jeszcze chwilkę! dajcież mi jakie berło do ręki, cóż ja za król bez tego!

— Cóż ci dać? Weź chyba tę laskę wujaszka.

— No, Tadek! kładź się prędko na ziemi. Henryś, weź tę dużą linię z mojej szuflady, to będzie miecz, chwycisz Leszka za nogę i będziesz go nibyto chciał przeciąć na dwoje. Tak doskonale, nie bój się Lechu, on ci nic nie zrobi. Walunia niech stoi naprzeciw kata i kułakami Andzi wygraża, a ty, Andziu, klęknij przy Leszku i w chwili, gdy kat będzie go chciał przekroić, porwij go za rękę. A rozpuść sobie włosy, bo to tak więcej rozpaczliwie wygląda. Wy, dworzanie, siadajcie w około.



Henryś chwycił Leszka za nogę i chciał go właśnie przeciąć na dwoje.

......................No już!

Drzwi się z trzaskiem otwarły i widzowie wpadli do sali.

— Zgadliśmy, zgadliśmy! śliczny obraz! — wołali jednogłośnie, klaszcząc w ręce.

— Ee... ale może tylko tak gadacie; cóż ten obraz przedstawia?

— Przecie „Sąd Salomona", to już nie wiem, ktoby nie zgadł.

— Ale ten Leszek! Na rękach się wspiera i królowi Salomonowi język pokazuje.

— A któż ja jestem? — zapiszczała Walunia.

— Ty jesteś matka wyrodna!

— No, niech jeszcze kto jaki obraz wymyśli, a potem mam pyszny projekt: niby to samo, a przecież co innego. Niech teraz najmłodsze dzieci wyjdą za drzwi, my im ułożymy jakiś łatwiutki obraz, żeby mogły odgadnąć. No, Leszek, Tadzio, Helenka, Michaś, Andzia umykajcie; zaraz was zawołamy.

— Wiecie co im zrobimy? — rzekł Jerzy z cicha do pozostałych dzieci: „Wygnanie z raju".

— Ach, pysznie, doskonale!

— Jakże to?

— Marynia będzie Ewą, a ja Adamem (ja jeszcze dziś nic nie przedstawiałem, to mi się należy).

— Ej... nie, ja ci lepiej poradzę i oni łatwiej

zgadną — przerwała Józia — Adaś będzie Adamem, a Ewcię zawołamy z tamtego pokoju; choćby już nic nie rozumieli, to jak wymówią: „Adaś i Ewcia", to im zaraz wszystko się wyjaśni.

— Dobrze, zgadzam się, a ja będę aniołem; wy zaś wszyscy, ile was jest, rzucajcie się na czworaki i ryczcie, wyjcie, szczekajcie na Adama i na Ewę, bo po grzechu pierworodnym, wszystkie zwierzęta zdziczały, a przedtem tygrysy, lwy, słonie, były zupełnie jak baranki.

Zawołano Ewcię, która z radością i dumą przyjęła daną sobie rolę.

Pierwsi nasi rodzice, okryci dywanikami z przed łóżek, jako skórami zwierząt, trzymając się za ręce i płacząc głośno postępowali ku drzwiom od ganku; Jerzy z ową linią, co już raz służbę miecza pełniła, walił ich płazem po plecach, a reszta dzieci udawała z nieopisanem powodzeniem chór dzikich zwierząt. Przywołani z przedpokoju malcy, po chwili namysłu, odgadli znaczenie obrazu i pochwalili, że był prześliczny.

— Ach, co za radość! niosą nam czekoladę! — zawołała Helenka, na widok Wiktusi, wchodzącej do pokoju z ogromną wazą w rękach.

— Teraz sobie odpoczniemy, dostaniemy podwieczorek, a potem znów do zabawy!

— Mama, przy pomocy cioci, ponalewała cze-

koladę do filiżanek, aż trzy deski musiano wsunąć do stołu, bo się dzieci nie mogły pomieścić; przyniesiono babkę i sucharki i cała kompania zasiadła do podwieczorku, pałaszując wszystko z wybornym apetytem... Mama, ciocia Zosia i wujenka Karolowa usiadły osobno, by dzieciom zostawić większą swobodę.

— Pyszna czekoladka!

— A wiesz... tylko cicho, nie mów nikomu, bo to sekret: potem mama poszle po lody.

— E?..

— Doprawdy, jak tatusia kocham.

— A to dopiero będzie używantes! Ja przepadam za lodami.

— No, kończcie już prędzej, bo szkoda czasu.

— Dobrze tobie mówić, nie każdy tak prędko potrafi chapać, jak ty.

— Już, już, zaraz, jużeśmy zjedli.

Podziękowawszy mamie i ciociom, dzieci skupiły się koło Jerzego, który im zaczął tłomaczyć nowy rodzaj zabawy.

— Wiecie, jak zrobimy? Będziemy przedstawiać przysłowia.

— Jakże to?

— Jedno czy dwoje, no ile tam potrzeba będzie, zostaje w pokoju, a wszyscy odchodzą i po-

tem muszą zgadywać, jakie przysłowie żywy obraz przedstawia.

— Dobrze.

— Idźcież wszyscy do przedpokoju, ja tylko sam zostanę, bo jedna osoba wystarczy; nawet sobie już kiedyś przygotowałem do tego parę potrzebnych rzeczy. Zaraz was zawołam.

.... Już!

Dzieci wbiegły i zobaczyły Jerzego, jak ładował sobie kieszenie resztkami sucharków, brał ze stołu łyżeczki, serwetki, spieszył się ogromnie, a na głowie miał papierowy kapelusz, pomalowany w plamy żółte i czerwone.

— Ach!.. Na złodzieju czapka gore!

— Zgadliście. Teraz kto chce coś przedstawić?

— Ja — zawołał Adaś.

— No, to chodźmy, a ty się spiesz!

.... Już!

Adaś układał na kanapie książki, płaszczyki, laskę wujaszka, skrzynkę z klockami, przykrył to wszystko prześcieradłem, położył się i zaczął jęczeć, stękać i wzdychać.

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi!

— Widzicie, jak to łatwo odgadnąć!

— Ale może bawmy się już w co innego.

— Dobrze, tylko jeszcze jedno przysłowie, bom

sobie przygotował coś, toby mi szkoda było. Zostań Michasiu, a wy, marsz za drzwi.

Gdy Jerzy zawołał dzieci, oczom ich przedstawił się następujący obraz: Michaś na czterech łapkach stał przy stołeczku pod nogi i udawał, że coś je, przy czem wydymał policzki, z całej siły; na ścianie zaś ponad nim przypięty był szpilką do obicia kawałek papieru, a na nim ogromne niebieskie oko.

— To przecież nie jest żadne przysłowie! — zawołała Andzia, ruszając ramionami.

— Jakto nie przysłowie?

— Naturalnie; ten obraz znaczy: „nie trzeba jeść za wiele, bo Pan Bóg na nas patrzy“.

— Bardzo ładne oko Opatrzności wymalowałeś.

— Ale niemądrzy jesteście! Jak mogliście nie zgadnąć, że to jest „Pańskie oko, konia tuczy“.

— Uuuu... to nam się nie udało.

— Wiecie, bawmy się teraz w cenzurowanego.

— Kto będzie zbierał cenzurę?

— Ja! — zawołała Walunia.

— A ja siądę na środku i będziecie na mnie wygadywać, — rzekł Staś.

Zebrawszy zdania wszystkich dzieci o Stasiu, Walunia stanęła przed nim z powagą i rozpoczęła:

— Zwiedzałam dalekie kraje, widziałam różne

obyczaje, a o panu dobrodzieju, słyszałam od ludzi wiele. Jedni mi mówili, że pan do królika podobny, bo często miewa czerwone oczy; drudzy mówili, że pan bardzo urósł od ostatniej choroby; inni znów, że pan trzy kroki zrobi, a cztery razy się przewróci; inni mówili, że z pana wielki rycerz, bo często r y c y; powiadają także, że się pan dobrze uczy; ktoś mi kazał powiedzieć, że ma dla pana łzy na przedaż, gdyby ich panu zabrakło; a jedna jedna osoba, powiedziała, że pana bardzo kocha...

— O, ja wiem, to Lili; ona zawsze coś przyjemnego powie, nigdy nikomu nie dokuczy. Niech ten siada na mojem miejscu, kto powiedział, że mnie kocha. A tamci, co się śmieją, żem beksa, niech się teraz wstydzą, bo choć mi Walunia takie szkaradne rzeczy mówiła, ja i tak nie płaczę... ani mi w głowie! Któż powiedział, że mnie kocha?

— Ja.

— Widzisz, Lilusiu, ja zaraz się domyśliłem, tyś taka dobra zawsze. No siadaj, a ja będę zbierać plotki o tobie.

. . . .

— Zwiedzałem dalekie kraje, widziałem różne obyczaje, a o pani mówiono mi wiele: że pani ładna jak różyczka, że pani dobra jak aniołek, że ma złote włoski i złote serduszko, że wszyscy, co

panią znają, to ją kochają, że pani ma głos przyjemny, jak u słowiczka, że...

— Ach dosyć, dosyć! — zaśmiała się Lili, zatykając sobie uszy rękami; — ładny mi cenzurowany, same komplementy mi mówisz, jakże tak można!

— A cóż ja winien, że nikt na ciebie nic złego nie potrafi powiedzieć? Ty jesteś nasza najmilsza, ukochana Lilusia.

— Uciekam, niech kto inny siada.

Po Lili usiadła Walunia i dowiedziała się, że jest gruba jak baryłka, że pewno waży trzy centnary, że nigdy suchot nie dostanie i tym podobne uwagi.

Po cenzurowanym, bawiono się w ciuciubabkę, przyczem naturalnie Staś nabił guza na czole, ale chcąc upokorzyć surowych krytyków, zaciął usta i ani pisnął.

Potem urządzono menażeryę: bardzo ładna zabawa! Jerzy był lampartem, Staś słoniem, Michaś szympansem, Adaś tygrysem, Józia, z powodu swej długiej szyi została żyrafą, Helenka papugą, a Henryś był właścicielem menażeryi. Dzieci, które nie chciały być zwierzętami, przychodziły oglądać menażeryę, a zwierzęta, tresowane przez dzielnego pogromcę, pokazywały rozmaite sztuki: tygrys skakał przez laskę i podawał panu łapę, słoń chodził po jednej desce, papuga powtarzała wyrazy, jakie

jej kto powiedział, lampart tańczył polkę w lewo, żyrafa spacerowała swobodnie, pozwalając głaskać się po pyszczku i całować, a szympans wykrzywiał się szkaradnie i robił takie miny, że niepodobna było wstrzymać się od śmiechu.

Cóż wam powiedzieć więcej? Bawiono się tak doskonale, że popołudnie mignęło, jak jedna chwilka.

Po siódmej podano lody.

I znów dziatwa zasiadła dokoła stołu, delektując się ulubionym przysmakiem.

— Ja najbardziej lubię wiśniowe; a ty?

— Ja waniliowe.

— A ja — rzekł Tadzio — to najlepiej lubię, łyżeczką pomięszać wszystko, pomięszać, pomięszać i dopiero taki sosik zajadać.

— Dmuchaj, Janeczku, bo to gorące — zażartowała Ewusia z dwuletniego braciszka; on też biedactwo usłuchał dobrej rady, wziąwszy lodów na łyżeczkę podmuchał i ostrożnie włożył do buzi.

— O! tak dmuchalem, tak dmuchalem, az psezięblilem za nadto — i rozpłakał się.

— Ale nie bój się, Janku — pocieszała go Lili, — Ewcia tak tylko żartowała, to są lody słodkie, bardzo dobre, ale zimne; nie płacz i jedz... Prawda, jakie doskonałe?

— Plawda, doskonale.

— No widzisz, nie trzeba płakać.

— Niech już dzieci nie biegają, bo niezadługo musicie się rozejść, — głośno zapowiedziała ciocia Zosia.

— Co? Jeszcze tak wcześnie...

— Już blizko ósma, pora wracać do domu.

— Szkoda!

— Jacy wy szczęśliwi, że już jutro na wakacye jedziecie!

— Ach, ja się nacieszyć tą myślą nie mogę! — zawołał Jerzy.

— Co my będziemy wyrabiać w tej Topolówce, to strach!

— A napiszesz do mnie choć raz? — spytał Henryś.

— Ee... wolę ci nie obiecywać, bo jak się porządnie rozbawię, to o całym świecie zapomnę.

— Zobaczymy się we wrześniu.

— O, Boże, oddal ten wrzesień, a rozciągnij wakacye choć do czterech miesięcy!

Ktoś zadzwonił, Wiktusia wyszła otworzyć:

— Służąca po pannę Walunię.

Za chwilę znowu dzwonek.

— Od pani Chmurowskiej po Adasia i Leszka.

— Po pannę Andzię.

I tak co parę minut. — Choć z żalem, ale trzeba się było rozstać. Całowały się dzieci bez

końca, jakby nie na kilka tygodni, ale na kilka lat niewidzenia.

O ósmej nie było już nikogo.

I wy, kochani czytelnicy, pożegnajcie się z Jerzym, Stasiem i Helenką; a jeżeliście ich polubili choć trochę, czytając dzieje ich codziennego żywota, powiedzcie mi tylko...

Spiszę sumiennie wszystko co robili, jak się bawili na wakacyach i po powrocie z Topolówki, nową książeczką was przywitam.

Do widzenia!



	Rs.	kop.
KONOPNICKA Marya. **Wesołe chwile małych czytelników** wierszem opisane, z 16 ślicznemi chromolitograficznemi obrazkami, w ozdobnej oprawie	1	30
— **Wiosna i dzieci.** Nowa książka dla dzieci, na pięknym welinie, z 12 wspaniałemi chromolitograficznemi ilustracyami, w ozdobnej oprawie	1	30
POPŁAWSKI J. L. **Ciekawe opowiadania z życia obcych ludów** z 12 dużej wielkości tablicami kolorowemi i 12 drzeworytami typów ludów, w pięknej oprawie	1	80
— **Podania o starożytnych Pół-bogach i Bohaterach** (Mitologia) z 12 tablicami chromolitogr. i licznemi drzeworytami. W ozdobnej oprawie .	1	80
ROSTAFIŃSKI J. prof. **Początki historyi naturalnej,** z 278 rycinami, w oprawie	1	20
SLÓSARSKI A. **Mały atlas zoologiczny.** Zwierzęta ssące, 228 obrazków kolorowanych, wypukłych, na 20 tablicach z tekstem objaśniającym. Prześliczne wydanie. W oprawie ozdobnej	2	—
TERESA Jadwiga. **Podarunek Wujaszka,** powiastki dla dzieci od lat 9. Wydanie bardzo ozdobne z 4-ma chromolitografiami, w pięknej okładce chromolitografowanej, z obrazkiem	1	50
— **Dobre dziewczynki.** Powiastki dla dziewcząt do lat 12, z 4-ma pięknemi chromolitografiami, w bardzo ozdobnej oprawie	1	50
WARNKA Jadwiga. **Gwiazdka dla moich małych przyjaciół.** Książeczka dla dzieci od lat 6—8, z 14 obrazkami w ładnej oprawie	—	50
— **Powiastki Cioci.** Książeczka dla dzieci od lat 6—8, z 14 obrazkami w ładnej oprawie . .	—	50
— **Marysieńka, albo dwa miesiące na Rugii.** Powieść dla młodzieży do lat 12, z 4-ma rycinami, w oprawie	—	75
— **Z pól i lasów pozdrowienia.** Powiastki przyswojone z czeskiego Vilmy Sokolowej z 6 obrazkami kolorowemi, w oprawie	1	—

